№ 26. Warszawa, dnia 18 (30) Czerwca 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

Z DZIEDZINY POEZYI.

Szkic literacki

E. ZORYANA.

(Dalszy ciąg.)

Przystępujemy do szczegółowego rozbioru utworów Konopnickiej. Mamy przed sobą dwa tomy poezyi i tom fragmentów dramatycznych. Jak na krótką działalność poetki bardzo to wiele. Zobaczymy, że nietylko ilość, lecz i jakość jest wielkiej wartości.

Tom pierwszy rozpoczyna się wierszem wstępnym. Oto na tle greckiem maluje autorka obraz, na który każdy wiek pisać się może.

To historya wieczności poezyi.

Starzy poeci wychodzą z Ateu na Olimp, żegnają chmurami ziemię, a zda się żegnają na zawsze. Platon, ów, przedstawiciel ścisłej, nieubłaganej logiki, nieprzyjaciel złudnej fantazyi i marzeń, z radością patrzy na niknący w dali szereg wieszczów i spodziewa się, że odtąd ludzkość wolna od rojeń cudownych, zacznie baczyć trzeźwo na swój byt powszedni.

Lecz jeszcze nie skończył swych dumań, aż tu widzi małe pacholę, zamarzone, z wzrokiem utkwionym w niebo, wołające: lutni, lutni!...

Wielki Platon zdumiony wydaje okrzyk:

Jakto? wielcy bogowie! — czyż znowu poeta!?

Jest to, jak już powiedzieliśmy, obrazowe przedstawienie nieśmiertelności poezyi. Utkwiona w duchu nieśmiertelnym więc sama jest nieśmiertelną, zaledwie przebrzmią echa jednej pieśni, a już nowa się odzywa, nowi poeci występują w szranki.

Z taką wiarą i nasza poetka przystępuje do odsłonięcia nam płodów swej muzy. Jest to zarazem wstęp do całego szeregu myśli o poezyi, które Konopnicka wypowiada. Wspomnieliśmy już jaką odpowiedź daje narzekającym na brak ideałów, braciom po pieśni: w innym fragmencie mówi autorka:

Wielki ty jesteś serc królu, poeto!
Co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę.

* * *

Lecz większy jesteś ty, o myślicielu,
Co głosisz prawdę odwiecznej ustawy,
I idziesz cichy, samotny, bez sławy,
Do nieznanego dla współczesnych celu,
I widzisz ruchy tajemnicze wieku...

To co mówiła o pieśni i jej potędze i tu powtarza, wyznając jawnie jak ją pojmuje, jaką ona jej zdaniem być powinna. Wykazując różnicę między poetą a myślicielem badaczem, podnosi wyższość tego ostatniego, bo nazywa go czystym, nieskalanym, podczas gdy *poeta z swą potęgą porywającą tłumy, może być wielkim lecz — przeklętym.*

Poeta daje brylanty i kwiaty:
Łzy i uśmiechy rozrzuca ludzkości...
Ale myśliciel odkrywa jej światy
I nowe drogi przyszłości.

Z poetą serce nasze się sprzymierza,
Nasze zachwyty i nasze boleści;
Ale myśliciel nigdy nas nie pieści,
Lecz jak konieczność uderza...

Poetów miały ludy już gasnące,
Co w lutnię tchnienie ostatnie przelały,
Lecz myślicieli rodzi nowe słońce
I pełne sił ideały.

Poeta wschodzi jak kwiat, który sieje
Wiosenny ranek na łące nad strugą...
Ale myśliciel jest krwawą dosługą
Narodu, co zna swe dzieje.

Wypowiedziawszy swe zdanie o poezyi, przystępuje poetka do stwierdzenia swych zapatrywań czynem. I oto mamy przed sobą szereg „obrazków” wiejskich i miejskich, smutnych i kirem okrytych, tęsknych i pełnych łez, bo w nich autorka opiewa niedolę.

Zwracamy z góry uwagę, że autorka podjąwszy obronę tych warstw nizkich, cierpiących, nie poszła bynajmniej torem autorów dawniejszych, którzy idealizując lud, kreślili obrazy niebywałe w rzeczywistości. Ona pojmuje życie ludu tak, jak się ono istotnie przedstawia oku wolnemu od złudzeń i uprzedzeń. Prawda jest alfą i omegą naszej poetki, a z prawdy tej tryska zdrój jej natchnienia. Lecz obok tego jest ona tendencyjną w kierunku szlachetnych dążeń społecznych, które w ostatnich czasach znalazły wielu zwolenników.

Przejdziemy „obrazki” po kolei.

Szereg ich rozpoczyna: „Co pocznie”. Ciężka dola nasuwa tysiące pytań, na które odpowiedź trudna, a rada jeszcze trudniejsza. Oto widzimy matkę stojąca nad brzegiem przepaści: w rozpaczy nie wie co począć z dziecięciem, bo nędza materyalna i moralna ją dręczy i zmysły odbiera. Co pocznie ta kobieta?

Czy załamawszy ręce jak Niobę
Tu skamienieje,
I stać tak będzie, aż wieku chorobę,
Wyleczą dzieje?

. . . .

Czy prawodawcom ukaże się we śnie,
Jak widmo drżące,
I zbudzi sennych, wołając boleśnie:
„Jest nas tysiące”.

. . . .

O myślicielu! co pocznie ta matka?
To drobne dziecię?
Milczysz? — jak ciemną jest życia zagadka,
Ileż łez w świecie!...

Zbyt tu wiele pytań — za mało na nie odpowiedzi. Lecz znajdziemy je później, w dalszych obrazkach. Łatwo sobie w myśli dopowiedzieć, że z takiego dziecięcia może być chłopak przed sądem, lub również wolny najmita, albo wreszcie jeden z tych co w sobotni wieczór stają na rozdrożu, nie wiedząc dokąd pójść — do domu czy do szynku.

Myślą ukrytą są wszystkie te obrazki powiązane — „Co pocznie” jest ze wszystkich najsłabszy.

Idźmy dalej.

„Sobotni wieczór”. Od zgrzytającej zębami maszyny powstał robotnik znużony, ażeby po tygodniowej pracy wziąć zapłatę, wyjść po za obręb dusznej atmosfery fabrycznej i odetchnąć wolnem powietrzem. Dostał zapłatę, wyszedł i — zadumał się, dokąd pójść. Przed oczyma mignął mu napis szynkowni, wejść czy nie? Zatęsknił, zamarzył o czemś lepszem. Myślał o wiośnie, ciszy, przyrodzie i Bogu.

Lecz myśl ta chwilę tylko trwała. Pobudka do złego silną była i dobrej strony w robotniku nikt nie wykształcił.

Pomyślał, podumał i poszedł — do szynku!

Smutne to, lecz prawdziwe. Niestety codzienne doświadczenie utwierdza nas o tej rzeczywistości. Podniesienie też tego motywu jest godnem prawdziwego poety.

Trzeci obrazek zatytułowany: „Wolny najmita”.

Malowany przecudnie, a jednak barwy, które się nań składają są straszne. Cienie czarne, pełne grozy — światła, jak rozpaczliwe blaski migocą. Autorka przedstawia całą ironię wolności, która pozwala zginąć z głodu lub zostać samobójcą.

Nikt się, co robi, jak żyje nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łzę połą swej świty
Wolny najmita.

Obraz przepięknie skreślony, jakby poetka istotnie nie słów, lecz farb używała.

Trzeci to już wizerunek człowieka, co albo jeszcze nie wie dokąd się udać, albo już dąży na bezdroża. A wszystko to ludzie bez żadnej innej winy, jak tej tylko, że świata nie znają, nie umieją sobie dać rady — ludzie bez oświaty.

Poetka nie chce wprost wypowiedzieć zdania, że ten brak światła jest ostateczną przyczyną złego, nie chce popaść w ton kaznodziejski, lecz wypowiada swe przekonania faktami. Przygotowywa czytelnika zwolna, chce ażeby on sam w sobie wytworzył zasadę, a wtedy dopiero wraz wielkim poetą woła: „Światła, więcej światła!”

I oto mamy czwarty obrazek „Przed sądem”.

Za jakieś drobne przewinienie stawiono przed sądem chłopaka-sierotę. Nikt go nie wychowywał, nikt nie uczył co czynić wolno, a czego nie, nikt na dobrą nie wiódł drogę. Któż też więc może być odpowiedzialnym, kto właściwie zawinił? Czy to małe pacholę obdarte i drżące?

Sędzia zamyślił się. I zdawało mu się, że ludzkość cała przemawia do niego.

Widział, że złem ten, to siła stracona,
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości...

Pytamy więc raz jeszcze kto tu winien i jak złemu zaradzić? Wreszcie po długim namyśle, wydaje sędzia wyrok:

Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę!

Otóż i tendencya autorki. Myśl to wypowiadana już nie raz, wszak hasło: przez oświatę... zyskało najszerszy rozgłos. W wierszu tym staje Konopnicka obok nieśmiertelnego Zygmunta, który wierzył w „jeden wielki cud!”

W tej tendencyi idzie poetka dalej, kiedy dzwoniąc na oświatę powiada, że wtedy „lud by się zbudził narodem”.

Czując złe, jakie wynikło z rosterek wewnętrznych, z zaniedbania ludu, powiada Konopnicka na innem miejscu:

Gdy stajesz w czarnych, nędznych chatach,
Nie łatwo pod wzruszeniem serca przyjść do słowa...
Gdzie my od was odbiegli, gdzieście wy zostali?

. . . .

O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj, dość żalów, dość kłótni...,
Otwórzcie nam ramiona! to my was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ah i bardziej smutni!

(*D. c. n.*)

W oddaleniu.

Cóż z tego, o najmilsi, żeśmy rozłączeni,
Że nas dzielą przestrzenie i Boże wyroki,
Jest siła co z nadziemskich wytryska promieni,
I w jedną całość wiąże świat uczuć szeroki.

Szmer liści, błękit nieba, gwiazd blade promyki,
Melodyjne półtony krążące w oddali,
To spójnie serc tęskniących, wierne pośredniki,
Tych co się ze łzą w oku na długo rozstali!

Czy mnie w cichą noc letnią woń kwiatów rozmarza,
Czy gwiazdę spadającą smutnym wzrokiem gonię,
Czy słucham dźwięcznych trylów leśnego pieśniarza,
Wszędzie ślad waszej myśli przeczuciem odsłonię;
I nucę pieśń tęsknoty w minorowym tonie,
Którą wam powiew wiatru dosłownie powtarza.

Emilia.

Jarosław Vrchlicki.

(Przekład z czeskiego.)

NA WIEKI.

Twoim na wieki! Spojrzenie tylko jedyne,
Bo nie wierzę tu słowu,
By mogło paść w twą duszę, jak miesiąc w głębinę:
Swą miłość daj mi znowu!

Z każdym dniem mi ją dawaj i z każdą godziną,
I z każdem serca biciem;
Daj w domu, daj w obczyźnie, daj nawet, gdy przeminą,
Te chwile, co zwiem życiem!

Daj mi ją w ogniu oka i tkliwem spojrzeniu,
W śmiechu, bólu i skrusze,
I w tem ufnem, serdecznem ręki uściśnieniu,
Którem godzą się dusze.

Daj mi ją, gdy za twoją wciąż biegnąc koleją,
Płonę dla cię miłością,
Łkam ku tobie wieczności i grobów nadzieją,
Żywotem i nicością!

Ma dusza, jak lilia swoje wonie w kielichu,
Dzięk bez końca ci niesie —
O niechaj twa miłość tak w nią spłynie pocichu,
Jak rosa w dzwonek w lesie.

Niechaj wiarą, natchnieniem, w cudnem wniebo- [wzięciu,
Niech pięknem w pierś mą spływa,
Jak nad biedną kolebką gdy do snu dziecięciu
Anioł-Stróż jego śpiewa.

Niech rośnie tam, buja, w kwiat się cudny prze- [twarza,
Jak róża w blaskach słońca,
I przez usta przyrody niech wciąż ci powtarza:
O daj mi ją bez końca!

Miriam.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Pan Mateusz Stroński, mieszkał w tej samej co dawniej kamienicy. Stanisław znając wszystkie narowy i przyzwyczajenia starego kawalera i wiedząc jak najmniejsze zakłócenie ułożonego porządku wprawia go w zły humor, wybrał taką chwilę na odwiedzenie, aby po drzemce poobiedniej zastać go w dobrem na przyjęcie gościa usposobieniu.

Sędzia zmienił się bardzo, posiwiał, podstarzał, przychylił się trochę ale pozornie trzymał się nieźle. Nie poznał swego ulubieńca. Gdy Stanisław wymienił swoje nazwisko, krzyknął, wyciągnął ręce, objął głowę jego w serdecznym uścisku i choć nie lubił się roztkliwiać, wzruszenie przemogło.

— Stachu kochany! — wołał poczciwiec.—Ciebież ja widzę, ciebie żywego i zdrowego, o którego śmierci już przed rokiem przyszła do nas wiadomość? A to cud prawdziwy, jakby zmartwychwstanie... Żyjesz więc a ja cię opłakałem i nie było dnia abym go twemu nie poświęcił wspomnieniu.

Mateusz długo nie mógł się uspokoić, Stanisław powiedział mu, że niebezpiecznie ranny prawie był pewny, że już do zdrowia nie wróci, że jednocześnie napadł go straszny tyfus i że to było powodem, iż go ogłoszono za umarłego. Dźwignął się jednak, w górskich wodach leczniczych odzyskał stracone siły i uznany za niezdatnego do dalszej wojskowej służby, dostał dymisyą ze stopniem porucznika. O tem wszystkiem Mateuszowi doniósł, ale go list nie doszedł, nie mając też żadnej wiadomości od swego imiennika, tymbardziej był pewny, że ten już nie żyje.

Do rozmowy przedmiotu nie brakło. Od chwili rozłączenia ich wypadki zaszły ważne, Stanisław znał je tylko dorywczo i jednostronnie, wszystko więc było dla niego nowem i ciekawem.

Mateusz opowiadając piorunował na wszystko i na wszystkich, na pyszałków, jak zwał całą arystokracyą, występował z większą jak dawniej zawziętością.

— To ród skalany i przeklęty! — mówił ściskając pięście. — Gdyby miał jedną głowę, tobym ją w proch roztarł, aby w postępie społecznym na drodze nie zawadzała. Jest to rak co ciało toczy w którem wegetuje i strawi go i sam zginie jeżeli się nie podda radykalnemu leczeniu.

Stanisław nie przeczył, zanadto wiele doznał złego, aby nie miał podzielać uczuć niechęci swego krewniaka.

— Rwie się to do przodownictwa, głowę wznosi nad drugich — mówił dalej sędzia — chce rej wszędzie prowadzić, wodzić drugich za nosy, aby przed nimi karki chylili, a tak to się zna na rzeczy jak kura na pieprzu a kogut na nutach. Niedołęgi obmierzłe! Słuchaj Stachu, chcesz dźwignąć ludzkość z męki krzyżowej, podnoś takich jak ty z sercem i głową a pyszałków gnęb i poniżaj, trap nawet w zarodach jak plugastwo pasożytne, które tylko obcemi tuczy się sokami.

Przez kilka dni jeszcze Mateusz nie mógł się dość nagadać ze Stanisławem. Miał on zamiar starać się o posadę patrona, do czego nadawało mu pewne prawo ukończenie kursu uniwersyteckiego.

Sędzia przyrzekł mu wszelkie poparcie a w parę tygodni później gdy się znów zeszli, powiedział że nominacya już jest postanowiona i wkrótce na sesyi przedstawioną zostanie.

— No, mój Stachu — mówił dalej Mateusz — kiedy z kłopotem co do twojej przyszłości uspokoiliśmy się, to i ja muszę się załatwić ze swoim kłopotem a nie wiem jak się zabrać do tego. Idzie tu o ciebie... o poruszenie wspomnienia zbyt dla ciebie bolesnego...

— Jeżeli rzecz dotyczy pani Kraworskiej i jej siostrzenicy, to panie sędzio bądź spokojny wiem wszystko...

— Wiesz wszystko? — zawołał Mateusz. — To dobrze, nie będę więc zwiastunem złej nowiny. Muszę jednak dotknąć niektórych szczegółów...

— Jestem na rozkazy pana sędziego...

— Słuchajże więc. Zaraz na drugi dzień — odezwał się sędzia — po twoim wyjeździe z Warszawy, przybył do mnie pan Długosz ojciec Władysława, człowiek bardzo poważny, sztywny jak tyczka a etykietalny jak mistrz ceremonii na dworze madryckim. Pokazał mi list od pocziwego proboszcza ze Skulczyna, w którym ten prosi go o protekcyą dla ciebie poczciwy Stachu...

— Dla mnie? — zapytał zdziwiony Stanisław— kiedym go o to nie prosił.

— To też i mnie wstawiennictwo to bardzo zdziwiło. Pan Długosz objaśnił, że z proboszczem łączą go bardzo dawne stosunki przyjaźni i wielki szacunek dla jego osoby, że skutkiem tego pragnąłby bardzo zadosyć uczynić jego życzeniu tylko nie wie w jaki to sposób dopełnić, aby nie obraziwszy twej miłości własnej, pomoc jego była stanowczą. Wyjednanie nominacyi na patrona, mówił mi dalej, nie będzie przedstawiać żadnej trudności, gdyż posiadasz potrzebną już do tego kwalifikacyą, a on chciałby wyłącznie coś uczynić takiego, coby i proboszcza i ciebie zupełnie zadowolniło i dało dowód, że prośba nie była daremną. W tym więc celu zgłosił się do mnie, prosząc o radę, o pomoc, o wybadanie twoich pragnień, życzeń i nadziei, a on wspólnie ze mną wziąłby to wszystko pod rozwagę i dopomógł do spełnienia o ile to byłoby w jego możności.

— Możesz wyobrazić sobie — mówił dalej Mateusz — jakie na to zrobiłem wielkie oczy. Człowiek narzucający się sam z pomocą i to z pomocą zupełnie bezinteresowną, dla biedaka jak ty, który zaczął od czyszczenia butów w konwikcie Pijarów a doszedł do patentu uniwersyteckiego, był dla mnie okazem zupełnie niezrozumiałym. Odpowiedziałem mu, że o ile wiem, to pragnieniem jedynem twojem jest zostać uczciwym człowiekiem, życzeniem urząd patrona a nadzieją praca dla dobra wszystkich podjęta.

— Wiem to — odrzekł — są to ogólne zasady wszystkim wspólne, ale oprócz nich szczególnie młodzi mają swoje własne ideały, w spełnieniu których szczęście swe upatrują. Może więc — dodał — i pan Stanisław Stroński nie jest ich pozbawiony.

— O ile wiem — odrzekłem — Stanisław ich nie posiada i całego siebie poświęcił w jednym kierunku, w którym osobistość jego na boku zupełnie pozostaje.

Wówczas pan Długosz zamyślił się chwilkę i powiedział, że według ściągniętych przez niego wiadomości, nie z ciekawości ale z obowiązku przyrzeczonej protekcyi, dowiedział się, że panienka, której dawałeś lekcye, kocha cię i przez ciebie równie jest kochaną, że jeżeli tak jest rzeczywiście, to on gotów jest związek ten ułatwić i dopomódz do otworzenia kancelaryi zaliczeniem potrzebnej kwoty, którąbyś mu później ratami przez ciebie oznaczonemi spłacił. Zwrócił przytem moją uwagę, na konieczność utrzymania w całem tem działaniu największego sekretu, abym cię wybadał, zjednał twoje zaufanie i jeżeli rzeczywiście pragniesz się ożenić z panną Stanisławą Bociażanką, abym ułatwienie do tego od siebie ofiarował a o nim najmniejszej nie zrobił wzmianki. Pragnie, jak powiedział, zrobić dobrze, zasługę z tego zamknąć w swojem sercu i oszczędzić miłość własną młodego człowieka, który pod jej wpływem mógłby pomoc jego odrzucić.

Tego samego dnia mój Stachu, po południu odebrałem wiadomość o twoim wyjeździe i zbyt nim byłem zajęty, abym mógł myśléć o czem innem jak nie o tobie.

Później dopiero dowiedziałem się, co za cel miał pan Długosz w skojarzeniu twego małżeństwa. Chciał sparaliżować tajemne zamiary swego syna Władysława, w czem mu nawet Kraworska przyrzekła dopomódz, ujęta obietnicą wyposażenia jej siostrzenicy i namową pani Sabiny, baby kutej na cztery nogi, czepiającej się wszystkiego jak pajęczyna i jak pył nieznośny wciskający się wszędzie.

Kraworska bowiem, jak mi to później wyznała spostrzegła, że dla Stasi nie byłeś obojętny, że uczucie szczególnej dla ciebie życzliwości, tliło w niej bezwiednie i z łatwością mogło się przemienić w świadomą miłość. Zresztą zamiana taka była zgodna i z jej widokami. Patron zdatny i pracowity to partya nie do odrzucenia a i przyrzeczony posag także coś znaczył. Doprowadzenie zaś małżeństwa z Władysławem przedstawiało już wielkie trudności a wzniecało obawę czy

szczęście Stasi zapewni. Z tych powodów chętnie przyrzekła odpowiednie działanie.

Wyjazd twój popsuł wszystkie szyki a co z tego wynikło wiesz już dobrze. Młode małżeństwo przeszło półtora roku bawiło za granicą i szczęście ich podobno bardzo krótko trwało. Ona wprędce poznała, że ma męża bałwana, który umie tylko jeść, pić, bawić się i trwonić pieniądze, a on żonę niesmacznej naturalności i niemogącej nagiąć się do wymagań świata wyższego. Wzajemne te niechęci rozdmuchane przez złych ludzi, coraz bardziej małżonków rozdzielały. Władysław z dniem każdym stawał się brutalniejszym, bardziej niezadowolonym, ona bardziej w smutku pogrążająca się.

Wymówki ze strony jego coraz częściej następowały, ona cierpliwie znosiła wszystko, ale martwiąc się zmieniła się bardzo, schudła, zmizerniała, jedne tylko oczy świeciły niezwykłym blaskiem jakby żarem, który ją wewnąrz trawił. Zmiana tak niekorzystna zupełnie męża od niej odsunęła, a gdy pierwszy wyrzekł słowo rozwód! i rozpoczął odpowiednie działanie, tak go biedna znienawidziła, tak wielką wzgardę dla niego uczuła, że choć słaba powróciła do kraju i wprost udała się do ojca.

Smutne to wszystko, mówił dalej Mateusz, nie zaprzątałbym cię opowiadaniem tak bolesnej przeszłości, ale jest tego ważny powód.

Kraworska zaraz po śmierci swej siostrzenicy, była u mnie i doręczyła pakiecik, który prosiła, aby koniecznie doszedł rąk twoich. Mają w nim mieścić się wszystkie papiery pozostałe po biednej męczenicy, które własną zebrała ręką, opakowała, owiązała i na dzień przed śmiercią wręczyła ciotce z gorącą prośbą oddania go tobie.

Stanisław zabrał się zaraz do jego przejrzenia.

W pakieciku, zaadresowanym własną jej ręką, już widocznie bardzo osłabioną, do pana Stanisława Strońskiego, obok wypracowań Stasi poprawianych przez niego, mieściły się różne kartki dorywczo zapisane urywkami różnych myśli jakie snuły się w jej głowie, gdy zaczęła przeczuwać nieszczęście jakie na nią spadło. Pomiędzy niemi znajdował się jakby brulion listu przeznaczonego do przepisania.

Na samym początku mieścił się adres po kilka razy powtórzony i szczególnie starannie napisany: do pana Stanisława Strońskiego, do zacnego, szanownego pana Stanisława.

Potem szły różne kreślenia, świadczące jak jej trudno było wyrazić to co pragnęła napisać: jak nie wiedziała jakich słów użyć, aby jasno przedstawić to co czuła. W pierwszych słowach przekreślonych mieścił się jakby wybuch żalu na dolę nieszczęśliwą, która oderwała od niej Stanisława: później jęczała skargą na świat i ludzi, na ułomność natury ludzkiej, pędzącej wszystkich jak ćmy do płomienia.

„Omyliłam się! — pisała. — Blask złota olśnił mnie, nie z mojej winy. Wprowadzona na *błędną drogę* patrzyłam na wszystko oczami świata i zamiast do marzonego szczęścia doszłam do niedoli. Czyżby takie było moje przeznaczenie? Czyż człowiek jest maryonetką poruszającą się jedynie na skinienie nieznanej mu woli?

„Zdawało mi się, że kocham i że byłam kochaną, a kochałam marę a on złudzenie. Poznałam to zbyt późno niestety!

„Z wyjazdem *jego* znalazłam się jak podróżny wprowadzony na manowce. Czasami dziwne przeczucie zakłócało całą moją istotę... pytałam sama siebie co to jest? a nie umiałam na to znaleźć odpowiedzi. Brakło mi przewodnika, brakło świadomości co prawdą a co kłamstwem... ułuda przeważyła... *on* byłby ją rozwiał jednem rozumnem słowem, *on* co tak czcił w sobie godność człowieka a wielbił *Tego* co go nim stworzył.

„Los oderwał go ode mnie... poszłam za swojem przeznaczeniem, dlaczegóż Panie tak srodze mnie ukarałeś? Czyż moja wina, że do odepchnięcia mary szczęścia brakło mi siły, a gdym poznała, że to mara już było za późno.

„Prawda jest tak jasną, a tak nieprzystępną! Tuż obok nas ulatuje, zdaje się gwałtem do nas przeciskać, a jednak odwracamy od niej oczy, gonimy ułudę, nie mogąc się otrząsnąć z tego co mami i nęci. Czyżbyś Panie umyślnie tak ludzi usposobił, aby nigdy nie mogli dojść do szczęścia, które jak drogi klejnot w nich samych spoczywa?

Po tem zapytaniu, na które nie dała odpowiedzi, dalsze pismo zwrócone już było wprost do Stanisława z przeznaczeniem do przepisania, bo także liczne w niem poprawki się mieściły.

„Gdy to pismo szanowny panie odbierzesz — pisała — ja już do rzędu żyjących należyć nie będę. Ostatecznej tej chwili wyglądam bez trwogi a nawet z pewnem zadowoleniem. Zanadto cierpiałam, abym życia miała żałować. Troszczę się teraz tylko o los mego ojca tak zacnego a obecnie zupełnie zrujnowanego i o los mojej dzieciny zagrożonej sieroctwem. Ojcu mego Józia tylko w ostateczności chciałabym powierzyć jego wychowanie, bo alboby go zupełnie zaniechał, albo zrobił istotą bez woli i zasad gnącą się jak trzcina za podmuchem własnej namiętności. Nie bierz mi za złe, oskarżenia tego, który z własnej mej woli był moim mężem. Gdy się dowiesz, jak strasznie zostałam zawiedzioną i opuszczoną, sam mnie usprawiedliwisz.

„Nie idzie mi o majątek ojca dla Józia, prawnie mu należący, bo przekonałam się własnem bardzo bolesnem doświadczeniem, że bogactwo prędzej zawadza do szczęścia jak się przyczynia do jego zdobycia. Chciałabym aby wychowaniem urobił się na człowieka jakim ty jesteś szanowny panie Stanisławie, coś wszystko winien samemu sobie i własnej pracy, choćby przechodził te same koleje jakiemi idąc doszedłeś do tego czem jesteś.

„Jeżeli ojciec Józia nie odmówi mu swej pomocy, odrzucić jej nie można ale dopominać się o nią, broń Boże! Pod twoją opieką, radą, wskazówkami, wyrośnie na człowieka przynoszącego zaszczyt rodowi Długoszów, czyż ich odmówisz?

„Życzliwość twoja, której mi tyle dałeś dowodów, powolność, wyrozumiałość na wszystkie moje żądania, co dziś dopiero właściwie oceniam i chlubię się niemi, jako dowodem pewnym mojej wartości, dają mi niepłonną nadzieję, że ostatnią tę moją prośbę spełnisz i staniesz się Józia zbawczym opiekunem.

„Czuję, że cię obarczam zbyt ciężkim obowiązkiem, przeczucie mówi, że nie nad twe siły, a tyś tak dobry, zacny i szlachetny! Umierająca dawna twa uczenica błaga cię o to a Bóg wynagrodzi!

„Żegnam cię... Bóg natchnął mnie myślą, abym tobie oddała opiekę nad Józiem, jakże Mu za to jestem wdzięczną!

„Myśl ta będzie dla mnie ostatnią i ostatniem wspomnieniem twojej dla mnie dobroci."

Pod pismem tem położony był podpis: Stanisława z Bociagów ale nazwisko z męża przekreślone, powtórnie napisane znowu zostało zamazane i dopiero jakby po długim namyśle dopisała wyraźnie: Długoszowa.

(*D. c. n.*)

Z PAMIĘTNIKÓW LITWINA.

(Dokończenie.)

Gdy po ukończeniu szkół udałem się do miasta uniwersyteckiego, pośród kolonii studentów Polaków znalazłem już także i Stefusia Mydełko, który był ulotnił się ze Słucka już na lat parę przedtem. W owych czasach egzamina wstępne do uniwersytetu były mozolne, dla tych zwłaszcza, którzy szkół nie ukończyli, albo dostali tylko świadectwo z mieruemi stopniami, nie zaś atestat, do którego potrzeba było stopni dobrych i celujących. Wielu z tej kategoryi próbowało zdawać egzamina po lat kilka z rzędu, a ci, którym się nie powiodło, zawsze mieli jeszcze nadzieję pomyślniejszego skutku na rok przyszły; tymczasem zaś tacy aspiranci stanowili klasę tak zwanych *futurów*. Mniej szczęśliwi spędzali długie lata w tym stanie i starzeli się, nie opuszczali jednak murów grodu uniwersyteczkiego, przywiązani stosunkami koleżeńskiemi i biorąc udział we wszystkich troskach i interesach, zabawach i wybrykach kolegów, tem swobodniej, że nie byli skrępowani wymaganiami karności uniwersyteckiej. Niektórzy z upływem lat, po próbach daremnych, wyrzekali się już nadziei wstąpienia do uniwersytetu, chociaż z nałogu i niejako z punktu honoru zawsze ją jeszcze głośno wypowiadali, wegetując tymczasem z dnia na dzień, z roku na rok, bez wyraźnej perspektywy w przyszłości, częstokroć nawpół o głodzie, mozolnie zyskując utrzymanie lekcyami lub przepisywaniem, wspierani składkami zamożniejszych kolegów. Takich długoletnich aspirantów do niebieskiego kołnierza nazywano „wściekłymi futurami", a byli oni dla kolegów, zwłaszcza świeżo przybywających, bardzo użytecznymi, gdyż jako obeznani z miejscem i praktyczni wskutek klepanej długo biedy, dopomagali w wynalezienie mieszkania, stołu, czasem nawet lekcyi i w urządzaniu studenckiego gospodarstwa.

Studenci nosili wówczas obowiązkowo mundury. Futurowie nasi mieli niejako także swój mundur, modą tradycyjną ustalony. Była to świtka, krojem używanych przez szlachtę czynszową, albo też czamarka lub węgierka z szarego sukna, buty z długiemi po kolana cholewami, przytem czapka formy chińskiej, futurką zwana i niezbędny kij zakrzywiony. Wąsy, brody i długie włosy należały również do tradycyjnej mody naszych futurów.

Było to w roku 1861. Rozpoczęły się nieporządki, w których na chlubę młodzieży naszej i jej zdrowego rozsądku potrzeba zaznaczyć, że nikt z Polaków nie brał udziału, a to pomimo nawoływań i pokus, przemawiających w imię powszechnego braterstwa i koleżeńskiej solidarności... Odznaczyli się tam, prawda, niektórzy studenci, którzy mieli nazwiska polskie, ale tylko nazwiska. Nasi zaś, powtarzam raz jeszcze, usunęli się zupełnie od udziału w tych wichrzycielskich zamieszkach, czem dali dowód swojej legalności, zamiłowania porządku i zdrowego sądu o rzeczach. Powtórzyłem to z naciskiem raz jeszcze, będąc dobrze

świadomy spraw tych, jako świadek naoczny, a powtórzyłem dlatego, że nie wiem, czy oddali nam pod tym względem słuszność ci, którzy kiedykolwiek o owych wypadkach pisali; dochodziły za to nas kłamliwe potwarze, pod tym względem na nas miotane. Że zaś z tej okoliczności postąpiliśmy słusznie i rozumnie — dowiodły tego następne wypadki.

Nakoniec d. 12 października nieporządki zakończyły się.

Niebiorący w nich udziału słuchali najspokojniej prelekcyi w audytoryum uniwersyteckiem. Ale, po ukończeniu lekcyi, powrót do domu niebardzo był łatwy i bezpieczny, gdyż oburzone na studentów pospólstwo chwytało na ulicach każdego, kto miał na sobie mundur studencki i znieważało czynnie... Dopóki więc władza uniwersytecka nie wmieszała się w tę sprawę, ażeby zapobiedz nadużyciom pospólstwa i ochronić spokojnych i niewinnych studentów, musieliśmy parę godzin oczekiwać w dziedzińcu uniwersyteckim, a i potem niebardzo pewni bezpieczeństwa, wymykaliśmy się szybko po dwóch, lub pojedyńczo i biegliśmy co prędzej do którego z kolegów najbliżej mieszkających, ażeby tam przebrać się w strój cywilny albo przesiedzieć do wieczora. Złośliwa ironia losu sprawiła, że w ten dzień smutnej pamięci mundur studencki, którego młodzież tak broniła, stał się właśnie oznaką niebezpieczną i złowrogą...

Schroniliśmy się tedy w kilku do najbliższej uniwersytetu futerskiej stancyjki Stefusia. Osobliwsza ta stancyjka zasługuje na dokładniejszy opis.

Duży i niezgrabny dom drewniany, malowany na żółto, z ogromnemi oknami i płaskim wschodnim dachem, oprócz parteru posiadał jeszcze piąterko, zwane tam *mezoninem* (*). Ale od podwórza, nad tem piąterkiem wznosiło się jeszcze drugie, wyższe, od frontu niewidoczne, rodzaj gołębnika czy strychu, a składające się z jednej tylko długiej i wązkiej izdebki. Do tej trzeba było drapać się po prostopadłej wązkiej drabinie bez poręczy, których miejsce zastępował spuszczający się w środkowym punkcie drabiny z dachu ogromny i gruby rzemień, służący do trzymania się przy wstępowaniu, które jeszcze dało się uskutecznić jako tako i przy zstępowaniu, które bywało zwykle trudniejszem i niebezpieczniejszem. Izdebka była zbudowaną dla ludzi miernego wzrostu, tak że tylko tacy mogli w niej utrzymać się stojący. Ściany z bali niebielone, zaledwie tylko mchem szpary pozatykane. W kącie na półtora łokcia wysokości znajdował się sześcienny piec czyli „leżanka", ale nie kaflowa, lecz gliniana pobielana. Czy ten piecyk łączył się z jakim prawdziwym piecem w niższych piętrach — było rzeczą problematyczną. Stefuś jednak utrzymywał, że tak jest niezawodnie i że w zimie jego leżanka, bywała nieraz dobrze ciepła, z czego korzystając używał jej zamiast łóżka. Otworu do palenia, oczywiście nie było tu żadnego, ale za to była jeszcze w samym środku izdebki wycięta w podłodze dziura kwadratowa, zapewne do przepuszczania ciepła z dolnego „mezoninu", a służąca częstokroć lokatorom gołębnika do obserwacyi nad dolnemi sąsiadami, co bywało nieraz źródłem pociesznych żartów, figlów i nieporozumień. Oprócz owej leżanki, Stefuś posiadał letnie łoże w postaci długiej skrzyni, która zarazem służyła wewnątrz za skład rzeczy, a w potrzebie, pochłonąwszy w swych głębiach ubogą pościel futerską, wybornie zastępowała miejsce brakującego tu stołu. Było tu jeszcze ze trzy stołki, a w kącie nieco rupieci gospodarki futerskiej; na więcej umeblowania nie było tu już miejsca. Dla formy, było tu na leżance kilka książek i kajetów, warstwą kurzupokrytych, chociaż Stefuś zapewniał zawsze, że uczy się zapamiętale, nawet po nocach, przygotowując się ciągle na rok następny do egzaminu, który mu już trzy czy cztery razy nie chciał się udać.

Kilku gości tak zapełniło futerską izdebkę, że trudno było poruszyć się, chociaż gospodarz utrzymywał, że z powodu istnienia leżanki w jego pokoju, jest miejsc dosyć dla gości, ba nawet więcej niż w niejednym „ośmiorublowym" pokoju (taką cenę płacono miesięcznie za porządny i duży pokój). Usadowiwszy się więc jako tako, puszczaliśmy dym z wyrabianych w miarę potrzeby papierosów, wcale dobrych, bo z wybornege tytoniu Gersona, a tanich, gdyż paliliśmy zwykle „dziewięciokopiejkowy" (9 kop. za ¼ funta), rzadko po 18 kop. za ćwiartkę, a „pierwszy sort" po 27 kop, za ¼ funta należał do rzadkich osobliwości. Izdebka była pełna dymu, chociaż Stefuś, podobno wbrew prawom fizyki, utrzymywał, że dym uchodzi przez otwór kwadratowy do dolnej facyatki, ubolewając przytem, że raz mu ta okoliczność wypłoszyła miłą sąsiadkę, młodą i ładną „roskolniczkę" (z sekty starowierców), która uciekła ze swego lokalu w nocy, gdyż, według pojęć tej sekty tytoń jest wynalazkiem samego dyabła, a jego palenie jest najcięższym grzechem, stokroć ważniejszym niż kradzież, morderstwo i t. p. Z pociesznemi szczegółami opowiadał Stefuś jak porwała się i miotała piękna lokatorka, co widział jakoby przez tenże otwór fatalny.

O zmierzchu zaczęły się przygotowania do herbaty i pojawił się samowar, którego dostarczenie dwa razy dziennie należało zawsze do gospodyni lokalu, choćby najtańszego. Filiżanki były dwie tylko, ale to był kłopot mały, gdyż z jednej pijano kolejno, bez łyżeczek obejść się było najłatwiej. Najważniejszą rzeczą było dostarczenie herbaty i cukru, gdyż smutny stan finansów gospodarza nie dozwalał mu tego zbytku i artykułów tych w domu nie było. W oczekiwaniu lepszych czasów, biedny Stefuś, jak i wielu innych, popijał odwar z łupin kakao, kupowany w cukierniach po dwa złote za funt. Musiał też, jak mówił, poprzestawać tylko co drugi dzień na złotówkowym obiedzie poczciwej Olgi Pietrowny, która za tę nędzną opłatę dawała jeden tylko wprawdzie cienki plasterek sztuki mięsa, ale za to zupy nie żałowała, nalewając, na żądanie, po dwa lub po trzy talerze z kolei. Przyniesiono więc zaraz herbaty i cukru i powiększono zapas bułek od uprzywilejowanego Łabana, piekarza studentów w tej części miasta zamieszkałych. Ktoś nawet dostarczył dwa funty konfitur (po złotemu funt), używanych do herbaty, a zastępujących jednocześnie i cukier i cytrynę; niektórzy woleli jednak herbatę czystą, z małym kawałeczkiem cukru „w przekąskę", co bynajmniej nie przeszkadzało jednoczesnemu spożywaniu bułek — była to jednak sztuka, której trzeba było wyuczyć się przez wprawę.

Zaczęła się uczta studencka i trwała aż do późna w nocy, przeplatana rozmową, opowiadaniami i pustym śmiechem młodości.

Gospodarz opowiadał nam, po raz już może dziesiąty, dzieje przeciwności, które go spotkały w ostatnim roku pobytu w gimnazyum.

— Wystawcie sobie — mówił — stanąłem do ostatniego egzaminu i byłbym go zdał z pewnością; ale jakoś bardzo było ostro i za kilka bagatelnych pomyłek wszystko przepadło. Przyjechał był nowy nauczyciel łaciny, z dziwnie odstającemi uszami, który nam zwykł długo i obszernie wykładać genealogią króla trojańskiego Pryama. Otóż ten mnie zgubił na egzaminie i to tylko za to, że zapytany o znaczenie wyrazu *ugitur*, odpowiedziałem, że musi to być trzecia osoba czasu teraźniejszego, biernego od słowa, którego znaczenia zapomniałem, a był to, jak się pokazało spójnik. Lichoż go tam wiedziało, że i spójniki mogą mieć takie zakończenie, wiem przecie dobrze, że podobne do tego formy *legitur*, *scribitur* i t. d. są to przecie czasy teraźniejsze bierne. Źle mi też poszło na egzaminie z historyi: nie było już także naszego starego B. ale przyjechał jakiś młody nauczyciel, elegant i dandys, któremu na pensyi panieńskiej uczenice podawały pachnące piórka. Otóż wypadło mi mówić (niestety, podział biletów na *części* już wychodził z mody i profesor przyniósł swoje bilety,) o Anglii za czasów rzeczypospolitej, a o tem żadnego, co prawda, nic miałem wyobrażenia.

— Kto był protektorem republiki angielskiej?— zapytał profesor.

— Kro... Kro... — zaczął mi podpowiadać poczciwy asystent, profesor geografii.

— Kronenberg! — wykrzyknąłem uradowany.

Właśnie bo wtedy słychać było o Kronenbergu, bogatym bankierze. No i co dziwnego, że zdawało mi się, iż człowiek tak bogaty może okazywać protekcyą i mógł być protektorem?

„Przepadłem" więc i z historyi. Potem próbowałem zachorować, ale i tu nieszczęście: nasz lekarz szkolny, pan Tybet z nosem kaczora, nie dał mi żądanego świadectwa. Prawda, że chciałem go darmo, bo nie miałem grosza przy duszy... Ot i przepadło wszystko i nareszcie rzuciłem gimnazyum i przyjechałem tutaj.

Powodowani delikatnym względem na gospodarza, w kwestyach umysłowych niezbyt biegłego, niewiele wszczynaliśmy rozpraw poważniejszych.

Młodzież i wtedy jak zawsze i wszędzie, posiadała ducha badawczego i sceptycznego i usiłowała otrząsnąć się z wielu powijaków, w które ich umysły ścisnęła szkoła; wogólności jednak więcej było w naszych poglądach umiarkowania niż radykalizmu. Nie zapędzaliśmy się za daleko w zapale krytyki i negacyi, ceniliśmy podstawy duchowego życia, pamiętając zawsze o tem, że naród nie składa się i zapewne nigdy składać się nie będzie z samych filozofów. Nie brzydziliśmy się jeszcze wtedy naszemi dziejami, sądząc je sprawiedliwie, ale z wyrozumiałością dla osób i rzeczy drogich. Nie przekładaliśmy nade wszystko cyrkla, wagi, ani rubla, a chociaż niejeden mógł, pod wielu względami, powiedzieć o sobie z Mickiewiczem: „dawno nie wiem, gdzie moja podziała się wiara," nie apostołowaliśmy wcale własnych przekonań, lecz szanowaliśmy odmienne, unikając najgorszego z fanatyzmów — fanatyzmu niewiary i negacyi...

Stefuś Mydełko był niewyczerpany w swoich opowiadaniach o panu podstolim i losach rodu Dobrodziejewskich. Wtedy to dowiedziałem się, że posiadał dużo ciekawych papierów familijnych, obawiając się zaś, ażeby ich do świec lub zapalania fajek nie użył, wyprosiłem część ich sobie. Dziwnym zbiegiem okoliczności, wkrótce potem dostały się do rąk moich pamiętniki i inne papiery familijne po pradziadku Fruktusie B. Z tych

(*) Nie z francuzkiego *maison*, lecz raczej od włoskiego *mezzanino*, znaczącego *facyatkę, piąterko.*

wszystkich materyałów możnaby ułożyć ciekawe opowiadanie, tem bardziej, że losy obu powyższych rodzin, sobie pokrewnych, plątały się ze sobą w dziwny i niezwykły sposób. Uczynię to później kiedy i wydrukuję, jeśli kto czytać to zechce.

Z dogasającą łojówką ustawał gwar rozmów, a spóźniona pora kleiła do snu strudzone oczy. Na zakończenie zabrzmiał nieodzowny, odwieczny hymn studenczki:

Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus...

Prześliczna pieśń ta miała taki urok, że śpiewali ją często profesorowie, po części starzy i ułomni, chociaż w ich ustach każdy niemal wiersz tego hymnu młodości był kłamstwem albo żartem.

Nie wiem, czy nasz Stefuś postąpił był już o tyle w łacinie, żeby wiedział, co znaczy w pierwszym wierszu pieśni owo fatalne dla niego *igitur*, to jednak pewna, że śpiewał najlepiej. Szczególniej nikt nie mógł mu dorównać w należytej intonacyi i wyrazistości, z którą wyśpiewywał dwa następne wiersze:

Post jucundam juventutem, post molestam senectutem,
Nos habebit humus, nos habebit humus.

Słyszało się w tych dwu wierszach trojaką skalę, odpowiednią trzem obrazom.

Pierwsze wyrazy dźwięczały rozkosznie i z mocą, jak urok szczęśliwej młodości, w dalszych czuć było osłabienie i niemoc drżącej starości; w ponurem zaś zakończeniu brzmiała grobowa nuta pogrzebowa...

Połowa już zasnęła, a jeszcze brzmiało:

Vivat Academia, vivant professores!
Vivant omnes virgines, faciles, formasae! etc.

Nareszcie ucichło i pospaliśmy się „pokotem”, jak kto stał, nie troszcząc się o pościel. Szczęśliwa młodość!

KONIEC.

POGADANKA.

Sezon ogórkowy wcale nie jest pozbawiony wrażeń. Spodziewaliśmy się drzemki spokojnej, wypoczynku po ruchliwej zimie i wiośnie, słodkiego *dolce farniente* w dnie skwarne, a tymczasem nic z tego. Dni skwarnych ledwo na pokaz było kilkanaście, potem ulewne deszcze i zimno, a nawet coś pisano o śniegu w okolicach podkarpackich.

Znowu o pogodzie — zawołacie.

Pogoda, a raczej niepogoda jest miernikiem naszych usposobień. Deszcz nieraz zasępi duszę w wigilię smutków, słońce ukoi serce zapłakane. Niech tylko każdy sięgnie do swych wspomnień, a przyzna mi słuszność.

Pamiętam raz, rozstawałem się na czas nieograniczony z zakątkiem rodzinnym i osobami sercu drogiemi. Było pochmurno, potem zaczął deszcz drobny siec niemiłosiernie, że mi się zdawało, iż to dusza płacze stęskniona. Nie mogłem się w żalu utulić, fantazya rozbudzona snuła same smutne obrazy. Wtedy rzuciłem na papier kilka zwrotek tak czarnych, tak gorzkich, żebym ich tu nie powtórzył za nic w świecie. Lecz w kilka dni potem słonko wyjrzało z po za chmur i tak się miluchno uśmiechało do świata, żem na tych samych kartkach czarnych i pełnych zwątpienia skreślił słowa nadziei:

Minęły już smutki,
Rozłąki czas krótki,
I dla nas niebawem przeminie,
Znów widzieć cię będę,
U nóg twych usiędę,
Zamarzę o szczęścia godzinie.

I piosnka wesoła,
Rozniesie dokoła,
Twój głosik miluchny, pieszczony.
Nie zwlekaj więc droga,
Tak blizka jest droga,
Ja czekam cię, czekam stęskniony...

Nie tęgie wiersze, co prawda, lecz płynęły mi raźniej z duszy i lżej mi było i weselej jakoś. To też barometr powinien nam być przyjacielem.

Ale jakim zapytacie? Czy takim który mówi prawdę i na dwadzieścia cztery godzin naprzód przestrzega o złem, i ostrzega o dobre, czy takim który zwodzi?

Niestety nie znalazłem jeszcze dobrego barometru... a w przyjaźń pomimo to wierzę. Rzadka ona, lecz możliwa i tym droższa...

Lecz wracajmy do pogody i wrażeń.

Otóż tym razem barometr nas nie zawiódł. Zapowiedział słotę nawet w wilię św. Jana. Towarzystwo wioślarskie zuchwale wypowiedziało niewiarę i dalejże robić przygotowania do wianków, sobótek i tym podobnych uroczystości. Niewiarę swą posunęli nasi wioślarze tak daleko, iż miejsc dla publiczności — nawiasem mówiąc słono płatnych — nie ochronili dachem.

Ruszają tedy pysznie ozdobione łodzie, płyną wianki, muzyka gra od ucha — a deszcz sobie leje jak z cebra, nie uważa na piękne kapelusiki dam, niszczy sukienki i jak stary zrzęda wydrwiwa wioślarzy, na których nie zostawił suchej nitki.

Gdyby ci wioślarze byli Galicyanami, posądziłbym pana Jeleńskiego, a bardziej Pancernego z „Roli” iż niepogodę umyślnie zamówili, aby na owych przybyszach galicyjskich tak im nienawistnych nie zostawić suchej nitki. Lecz tak nie było. Towarzystwo wioślarskie jest czysto warszawskie, a deszcz sprawił lanie samoistnie, nie pobierając za to żadnego wynagrodzenia od żadnego bankiera, lub zbogaconego eks-żyda. Powinno to „Rolę” bardzo cieszyć i przekonać dowodnie, iż są u nas jeszcze niezależni, którzy lubią na drugich niezostawić suchej nitki.

Poruszywszy sprawę sponiewieranych Galicyanów, nie mam wcale zamiaru rozbierać jej szczegółowo. Dodam tylko, iż zrodzona w łonie redakcyi „Przeglądu tygodniowego”, znalazła godnego piastuna w „Roli”. Młode to pismo postanowiło bądź co bądź stać się głośnem i porusza każdą sprawę, która robi wiele hałasu. W sprawie literatów galicyjskich nie wiele dowiedzieliśmy się nowego, mniej jeszcze uczciwego, za to widzimy na tej roli bardzo wybujałą latorośl poznańską. Tym razem teorya płodozmianu została świetnie uwieńczoną. Roślinka, dla której na wielkopolskiej niwie nie było już soków żywotnych, na warszawskiej niwie buja coraz wyżej i wyżej...

Dla samejże „Roli” cała ta sprawa jest złotodajną, bo oto nawet te pisma, które nie chciały pomieszczać jej ogłoszeń, muszą o niej obecnie obszernie się rozpisywać!

I niechże kto powie, że u nas brak pomysłowości.

Lecz nie koniec jeszcze nowości i wrażeń. Mamy ich pod dostatkiem, a są one od poprzednich ważniejsze, dla przyszłości ogółu donioślejsze.

Do takich zaliczyć należy przedewszystkiem sprawę pomnika Mickiewicza. Od lat czterech sprawa ta zajmuje uwagę ogółu, od tego bowiem czasu zaczęto u nas zbierać składki na wzniesienie pomnika największemu poecie. Myśl piękna znalazła oddźwięk w sercach społeczeństwa i w tej chwili fundusz zebrany wynosi 94,000 złotych reńskich.

Koszta obliczono na 100,000 złr., a więc niewiele już brakuje do uzupełnienia tej kwoty. A jednak sprawa wcale nie zbliża się do urzeczywistnienia. W przededniu uchwalenia czegoś stanowczego rozpoczęto spory o miejsce na pomnik.

Nie jest to co prawda rzecz błaha, lecz zdaje się nam, iż powinna ona wywołać tylko dyskusyę a nie spory. Przed rokiem już uchwalił komitet wznieść pomnik na rynku krakowskim, a dziś uchwała ta zaczyna się chwiać, powstają nowe projekta, za którymi nie przemawia większość, lecz jednostki. W łonie komitetu powstały trzy nowe projekta, za któremi nie przemawia większość, lecz jednostki. W łonie komitetu powstały trzy stronnictwa, każde głosuje za innym projektem, a o wszystko łatwiej jak o zgodę.

Przyznajemy żeśmy się tego co najmniej spodziewali. Rzecz to smutna i świadcząca o wielkiej... drażliwości niektórych członków komitetu zwłaszcza że wobec wielkiego celu prywaty i ambicyjki powinny stanowczo ucichnąć. Niestety nie wszyscy to rozumieją.

Jak długo ten lub ów z łona komitetu opierając się na względach estetycznych, motywował swe zapatrywania, nie mogliśmy mieć nic przeciwko temu, lecz dziś chwycono się innego sposobu. Oto powołują się do opinii publicznej, do żądań ogółu. Stronnictwo, które nie chce mieć Mickiewicza na rynku, powiada, iż to jest żądanie ogółu. Powoływanie się na opinię szerszych kół było co najmniej nieprawne. Wobec tego koło artystyczno-literackie w Krakowie uznało za stosowne wmieszać się w tę sprawę i oto co nam komunikuje:

Szanowna redakcyo!

Walne Zgromadzenie członków „Koła artystyczno-literackiego”, odbyte w dniu 13 czerwca b. r. poleciło podpisanym zawiadomić Szanowną Redakcyą o następującej *jednogłośnie* powziętej uchwale:

„Ponieważ pomimo uznania przez ogół rynku krakowskiego za najwłaściwsze miejsce na pomnik Mickiewicza i pomimo stanowczej w tej mierze uchwały pełnego Komitetu, pojawił się projekt wzniesienia pomnika wieszczowi na placu między budynkami uniwersyteckiemi, popierany przez kilka nieobeznanych z miejscowością dzienników warszawskich — walne Zgromadzenie członków „Koła artystyczno-literackiego” *jednogłośnie* uchwala wyrazić opinią, że plac no-

woprojektowany tak z uwagi na znaczenie pomnika, jakoteż i ze względów estetycznych jest *najzupełniej nieodpowiednim*. O uchwale tej poleca Walne Zgromadzenie zawiadomić Jaśnie Wielmożnego Prezydenta miasta D-ra F. Weigla, jako przewodniczącego Komitetu pomnikowego, oraz wszystkie Redakcye czasopism polskich."

Wypełniając wolę Walnego Zgromadzenia mamy zaszczyt pozostać

z najgłębszym szacunkiem

Juliusz Kossak,
prezes „Koła"

Dr. Adam Asnyk,
zast. prezesa.

K. Bartoszewicz,
sekretarz.

Koło artystyczno-literackie było zupełnie w prawie zabrania głosów w kwestyi tak ważnej i należy mu się za to zasłużone uznanie. Nie tylko, iż jest ono tym razem po stronie prawdziwej opinii, lecz ma jeszcze i słuszność z innych względów.

Nie powiemy ażeby pomieszczeniu pomnika Mickiewicza wśród rynku nie można nic zarzucić, lecz faktem jest, iż plac ten jest najdogodniejszym i najstosowniejszym. Nie wina Krakowa, iż nie ma wielkich przestrzeni wewnątrz. Jako miasto średniowieczne zbudowane ciasno, ma place i rynki małe, a nowych tworzyć niepodobna, chyba gdyby zburzono kilkanaście domów.

Projekt profesora Łepkowskiego, ażeby pomnik stanął na placu Szczepanowskim ma za sobą wiele danych — lecz zawisł od przebudowania całego szeregu domów, co nie dałoby się tak rychło uskutecznić.

Zresztą raz jeszcze powtarzamy, wolno dyskutować seryo, godzić się lub nie, na ten lub ów projekt, lecz nie należy się swarzyć. Mamy nadzieję iż najbliższe posiedzenie komitetu uchwali coś stanowczego. Trzeba raz skończyć z wyborem miejsca, aby mieć swobodę dalszego działania.

Warszawa ma także swoje kłopoty — z budową teatru Rozmaitości. Utrata tej sceny była faktem bardzo smutnym, lecz mamy nadzieję, iż da się powetować. Postanowiono odbudować tymczasem teatr spalony na dawnem miejscu, aby przedstawienia nie ucierpiały zwłoki, a później dopiero obmyśli się co dalej robić.

Ofiarność publiczna i tym razem nieokazała się obojętną. Projekt dania przedstawienia na rzecz odbudowania teatru został przyjęty jednomyślnie. Z jednego wieczoru zebrano kilkatysięcy rubli. Dowód to, że ogół rozumie potrzebę niesienia pomocy w wypadkach ważnych.

Reszkówna, naturalnie, i tym razem była magnesem ciągnącym publiczność do kasy — inni artyści zrzekli się zwykłego dodatku za przedstawienie.

Znakomita śpiewaczka, obdarzająca tak szczodrze Warszawę nie zapomniała o żadnej pożytecz nej instytucyi. Dnia 1 lipca odbędzie się koncert na rzecz schronienia dla nauczycielek. Wspominaliśmy już kilkakrotnie o potrzebie wspierania tego towarzystwa, które ma zaopatrywać niezdolne do pracy wychowawczynie naszych dzieci. Jeżeli komu, to im należy się chleb dobrze zasłużonych. Nie powinniśmy dopuścić, ażeby do zarzutu, iż zbyt posługujemy się zagranicznemi guwernantkami, dołączono i ten, że własnym nie umiemy zapewnić na starość spokojnego chleba. Pewność, że uczciwa praca znajdzie wynagrodzenie i ochroni od nędzy, zachęci nauczycielki do tem gorliwszego spełniania obowiązku.

Es. Zet.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Niezadługo przybyć ma do Warszawy panna Teresa Ciszkiewicz, która ukończywszy kursa medyczne w Bernie i odbywszy praktykę w jednej z większych drezdeńskich klinik, udała się do Petersburga, gdzie złożyła egzamin na stopień lekarski. Panna Ciszkiewicz ma zamieszkać stale w Warszawie. Druga to więc już rodaczka nasza z dyplomem ukończonych nauk medycznych, praktykować będzie w naszem mieście.

*** Dnia 4 czerwca r. b. odbyła się w Szwecyi w uniwersytecie upsalskim, coroczna uroczystość rozdawania dyplomów nowo-promowanym magi strom i doktorom nauk. W tym roku uroczystość ta przybrała niezwykły charakter i więcej niż kiedykolwiek zainteresowała publiczność, gdyż pomiędzy doktorami filozofii mającymi dnia tego na znak nowej godności otrzymać laurowy wieniec, pierścień i dyplom, znajdowała się kobieta — pierwsza w Szwecyi potrafiła uzyskać tak wysoki stopień naukowy. Panna Fries, młoda doktorka filozofii, jest córką jednego z wyższych oficerów armii szwedzkiej i ma obecnie zaledwie lat dwadzieścia. Stopień naukowy uzyskała po napisaniu i obrobieniu rozprawy na temat: „Przyczynek do dziejów dyplomatycznych stosunków pomiędzy Szwecyą a Niderlandami, za panowania Karola X."

Zachowanie się panny Fries podczas uroczystego aktu, było nader ujmujące. Weszła na katedrę ubrana czarno, skromnie ale gustownie, z odpowiednią powagą, nie objawiając żadnych znaków obawy, odczytała rozprawę swoją donośnym i sympatycznym głosem. Wszyscy podziwiali przytomność umysłu z jaką odpierała zarzuty oponentów. Wręczając młodej doktorce insygnia jej nowej godności, rektor uniwersytetu zaznaczył w pięknej przemowie niezwykłe znaczenie dnia tego, w którym pierwsza Szwedka doktorskiemi wawrzynami ozdobi swe skronie. Uznał fakt ten za dowód wyższego stanowiska, jakie kobiety zajmują obecnie w porównaniu z ubiegłemi wiekami, i możliwość ich współzawodnictwa z mężczyznami na polu nauki. Przez cały ten dzień, tak uroczysty dla młodej doktorki filozofii, była ona przedmiotem ogólnego uznania i licznych owacyi.

*** Przed parą miesiącami wyszło w Londynie dzieło p. t. „The Real lord Byron". Dzieło to ogólne obudziło zajęcie i wrażenie, a najpoważniejsze pismo naukowe „The Athenaeum" pisze o niem z nader wielkiem uznaniem i pochwałami. Żadne z dzieł wydanych w ostatnich latach i zajmujących się historyą literatury XIX stulecia nie podaje tyle nowych i nieznanych faktów i objaśnień. Uczony krytyk miał przystęp do nowych zupełnie źródeł i umiejętnie z nich skorzystał. Sposób opowiadania jest jasny i logiczny, rzuca nowe światło na postać Byrona i odtąd każdy krytyk poezyi angielskiej będzie musiał je czytać i niem się posiłkować.

Najciekawszą jest część poświęcona małżeńskim stosunkom wielkiego poety. Opierając się na niezbitych dowodach, autor oczyszcza poetę z niecnych oszczerstw rzuconych na niego w ostatnich czasach i wykazuje, że główną przyczyną nieporozumień między lordem a lady Byron, które w końcu doprowadziły do separacyi, była zupełna niezgodność charakteru i temperamentu małżonków.

*** „Echo muzyczne i teatralne". Pod tym tytułem wychodzić zacznie z dniem 1-ym października r. b. tygodnik zamieniony z poprzednio wydawanego tygodnika „Echo muzyczne", przyczem znacznie rozszerzony. Pismo przy współudziale licznych sił literackich i artystycznych, pozostawać będzie pod redakcyą p. Jana Kleczyńskiego; pod względem wydawniczym prowadzić je będzie znana firma: „Rajchman i Frendler".

*** Książę Ludwik Ferdynand królewicz bawarski, który niedawno ożenił się z infantką hiszpańską, Maryą del Paz, siostrą króla Alfonsa, oddał do druku dzieło naukowe, obejmujące monografią języka człowieka i różnych zwierząt, napisaną że stanowiska anatomii porównawczej i ozdobioną 105 rycinami. Jak wiadomo inny książę, członek monarszej rodziny Wittelsbachów, królewicz Karol Teodor jest doktorem medycyny i z wielkiem zamiłowaniem oddaje się praktyce lekarskiej.

*** W roku 1892 przypada czterechsetletnia rocznica odkrycia Ameryki przez Krysztofa Kolumba i dziś już Amerykanie obmyślają plany uroczystego jej obchodu. Pragnąc nadać uroczystości charakter międzynarodowy, życzą sobie, aby Hiszpania przyjęła w niej przeważny udział i w tym celu odniesiono się do króla Alfonsa i do głównych mężów stanu. Zdania są podzielone co do wyboru miejsca. Król Alfons proponuje Huelva w Andaluzyi, jako port, który dostarczył maszty do okrętu którym Kolumb odbył pierwszą podróż. Inni zalecają Grenadę, gdyż ztąd właśnie udał się Kolumb w podróż w której następstwie zrobił to wielkie odkrycie, lub nareszcie Madryt, jako punkt centralny. Najoryginalniejszym i może dlatego właśnie mającym najliczniejszych zwolenników, jest projekt sennora Casstelara. Proponuje on ażeby flota międzynarodowa, odpłynęła z Palos, w Grenadzie i udała się do San Salvador gdzie Kolumb po raz pierwszy wstąpił na ziemię Ameryki, a wracając zatrzymywała się w rozmaitych portach w których przyjmowanoby je uroczyście, poczem powróciłaby do Hiszpani. W Barcelonie wówczas odbyłyby się uroczystości w których o ile może być najwierniej odtworzonoby wspaniałość i przepych dworu Ferdynanda i Izabelli. Sennor Castelar obstaje przy swoim projekcie i spodziewa się skłonić ziomków do przyjęcia jak najrozleglejszego udziału w obchodzie tej pamiętnej rocznicy.

*** Tonkin który obecnie Francya opanować pragnie, jest krainą bogato uposażoną od przyrody, szczególnej w produkta mineralne. Tonkińskie kopalnie złota mogą współzawodniczyć z australskiemi i kalifornijskiemi; krajowcy używają surowego metalu jako wartość zamienną. Kobiety z Mnongs, nad Czarną rzeką, udając się na targ grywają o tysiące franków, nie dbając wiele o wygraną czy przegraną. W górze rzeki Czarnej, w okolicy Yen-Kiang, leżą kopalnie Talan, obfitujące w złoto znajdące się w piasku i w pepitach. Wyżej jeszcze ku źródłom czerwonej rzeki, eksploatacya drogich metali odbywa się na wielką skalę. Wogóle cały Tonkin znajduje się w wa-

runkach zasady postawionej przez Humboldta: że złoto kryje się w każdym łańcuchu gór, których oś idzie w kierunku południka. Srebro także znajduje się tu w wielu miejscowościach, a rudy miedzi co krok napotkać można, i z niej też wyrabiane są wszystkie naczynia krajowców. Jedna z najznaczniejszych kopalń znajdująca się w pośród lasu, rozciąga się na przestrzeń kilkuset hektarów. Do braku kapitałów, nie wyzyskują tu pokładów cyny, pomimo, że kopalnie około Mongtse, w prowincyi Yun-nan, zaliczają się do najbogatszych ze znanych dotychczas. Nie zbywa także Tonkinowi na pokładach cynku, ołowiu i bizmutu. Obok powyższych zasługują szczególniej na uwagę bogate pokłady węgla, roztaczające się na przestrzeni 110 kilometrów, Fauna Tonkinu wydaje piżmowców, szyldkret, konchy perłowe, wosk, jedwab', pióra pawie, bażanty i bardzo wiele ślicznie upierzonych ptaków.

*** Na wystawie elektrycznej w Monachium, oglądano szereg fotografii, przedstawiający rozmaite zmiany wyrazu twarzy ludzkiej, wywołane wystawieniem różnych nerwów na działanie elektryczności, przez doświadczenia czynione przez profesora von Ziemsen. Poddając odpowiedni nerw działaniu prądu elektrycznego, profesor wywoływał na twarzy wyraz radości, bólu, zadziwienia, zwątpienia, odrazy, śmiechu i t. p. Inne doświadczenia jego na tem polu wielkie rokują nadzieje i z czasem wydać mogą nader doniosłe rezultata. Między innemi profesor Ziemsen zajmuje się porównaniem wpływu trwałego i wprowadzonego prądu na nerwy sercowe. Doświadczenia jego wykazały, że prąd wprowadzony, zamiast jak mniemano dotąd, podniecać te nerwy, ubezwładnia je zupełnie, kiedy przeciwnie prąd trwały zwyczajnej bateryi działa nader żywo i prędko.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia ze szlakami. Szerokość materyałów letnich, wynosząca w materyale zwanym zephyr 120 cent., wystarcza dla dodania szlaków wzdłuż brzegów, które przy spódnicy plisują się wraz z tłem, a odcięte służą do przybrania tuniki i stanika. Gładki stanik z baskiną ma dodaną kamizelkę z żółtawej materyi surah przyciśniętą paskiem z taśmy metalowej, zapiętym ozdobną wielką klamrą z kolorowemi kamieniami. Kapelusz z granatowej słomki ogarnirowany koronką, ma z wierzchu kokardę z wązkiej wstążki i bukiecik kwiatów.

Ubranie spacerowe dla małej dziewczynki. Sukieneczka formą princesse, z miękkiego wełnianego materyału, zapięta z boku na kryte haftki i zdobna kokardkami z wązkiej wstążki. U dołu wycięta w proste patki i zakończona szerokim wolantem batystowym żółtawego koloru z szerokim maszynowym haftem. Pelerynka odpowiednia do wolantu. Kapelusz z rondkiem oszytem pomponami, zdobny sutą rozetą ze wstążki.

Suknia z gładkiego zephyru zdobna haftowanemi falbanami. U dołu spódnicy nad wązkiem plisowaniem dany wolant wycięty w zęby, wyżej zaś na przodzie sukni dwie falbany oszyte szerokim haftem, układane w kontrafałdy. Draperya z przodu składa się z dwóch części zachodzących na siebie, zdobnych ażurową wstawką wszywaną w równych odstępach, tylne bryty suto podpięte spadają do dołu sukni i wycięte są w zęby. Gładki stanik z chusteczkowem przybraniem i mankietami z haftu. Kokardy z aksamitki tego co suknia koloru.

Kapotka słomkowa zdobna girlandą kwiatów i aksamitką.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Іюня 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

Zasiadł do biurka i napisawszy list wyszedł wydać rozkaz wysłania go natychmiast; wróciwszy zastał Jana palącego spokojnie jedno z cygar ofiarowanych mu przez Krystynę i Marylkę.

— Macie się bić na szpady? zapytał hrabia.

— Tak, na pistolety za wielką miałbym przewagę.

— No, i naturalnie, dlatego mój pan margrabia don Quichotte de Lizardière wybrał szpady. Czy przynajmniej dobrym jesteś fechtmistrzem?

— Nie wiem doprawdy; nie fechtowałem się od śmierci ojca.

— To bardzo źle, nie należało tego zaniedbywać; ojciec twój był mistrzem w tej sztuce — chlubię się z tego że jestem jego uczniem... Ale muszę cię uprzedzić że pan Legrand słynie w całym Paryżu za jednego z najlepszych fechtmistrzów.

— Tem gorzej; odrzekł Jan jak najspokojniej.

— A obok tego jest odważny.

— Tem lepiej.

— Zdaje się jedna tylko pozostaje ci szansa...

— Co chcesz powiedzieć, kuzynie?

— Proszę cię wyjmij z biblioteki tę wielką księgę in-4°, oprawną w skórę. Dobrze; teraz mi ją podaj.

Jan wyjął starą księgę i przeczytał szumny tytuł:

MISTRZ FECHTUNKU
czyli
Najdoskonalszy sposób robienia szpadą
Ofiarowany Jaśnie oświeconemu księciu Burgundii
przez
pana de Liancour.
Paryż i Amszterdam
1697.

Wziąwszy książkę hrabia zaczął przerzucać karty:

— O zmienianiu miejsca dla uniknienia ciosu przeciwnika — to nie to. — O zasłanianiu się w fechtowaniu według metody niemieckiej, używanej także w Holandyi... Hiszpańskie cięcie ostrzem — jeszcze nie to!... A! otóż jest: O pchnięciu w bok. Proszę zrób mi tę przyjemność i przeczytaj uważnie ten rozdział; tuż obok jest rycina doskonale text objaśniająca.

Widzisz mój Janku, tegocześni fechmistrze, jak Grisier, Bertrand, Lozes, Robert, wymyślili mnóstwo obrotów, którym nadali bardzo efektowne nazwy — ale ani jeden z nich nie wart starej i prostej *flankonady* czyli pchnięcia w bok, tuż nad pasem. Raz więc jeszcze proszę czytaj rozważnie ten rozdział dzieła nieocenionego pana de Liancour, a potem możesz spać spokojnie. Obudzę cię o ósmej, a o dziewiątej przekonasz pana Legrand o doskonałości metody niezrównanego fechmistrza.

Hrabia de Chazé mówił to śmiejąc się, z bynajmniej nie udaną wesołością. Jako były pułkownik uważał pojedynek za rzecz bardzo zwykłą, i choć szczerze był przywiązany do swego kuzyna, cieszył się że patrzéć będzie na krzyżujące się szpady — to go jakoś odmładzało.

* * *

O oznaczonej godzinie, przeciwnicy i świadkowie przybyli na leśną polankę, obraną za miejsce spotkania. Tak hrabia jak i pan Désormes przywieźli z sobą szpady.

Drugim świadkiem pana Legrand, był pewien oficer od huzarów, przyjaciel rodziny Désormes; drugim świadkiem margrabiego był pan Kajetan de Cambry, były oficer marynarki, zimny, poważny, milczący, obejście jego było wytworne i pańskie.

Za wspólnem porozumieniem świadkowie wybrali plac boju; wybór z pomiędzy przywiezionej przez świadków broni, przypadł losem Janowi, który powodowany zbytnią delikatnością, wybrał nie oglądając przywiezione przez pana Désormes.

Podając Janowi szpadę, hrabia nie mógł się powstrzymać od szepnięcia mu:

— Pamiętaj! pchnięcie w bok!

Przeciwnicy zrucili suknie i pozdrowili się szpadami.

Skrzyżowawszy broń, walczący z początku obserwowali się wzajemnie, wymierzając udane cięcia i zmieniając je dla wypróbowania sił. Pan Legrand był wprawniejszy, Jan de Lizardière gorętszy. Pan Legrand, za otyły na tak młodego człowieka, siłą i pewnością siebie wynagradzał brak zwinności. Czekał spokojny, stojąc silnie na mocnych nogach, z głową w tył przechyloną, a ręką lekko zgiętą, ufny w swą siłę i wprawę.

Jan gorący i niecierpliwy, wymierzył cios nader nierozważny, pan Legrand odbił go jak najspokojniej i znowu cięcia zaczęły się krzyżować. W tem nagle, pan Legrand rzucił się z szybkością jakiej otyłość jego nie dozwalała się domyślać, i szpada jego ugodziła Jana poniżej piersi, lecz napotkała jakąś nieprzewidzianą zaporę. Jan uczuł dotknięcie i zdziwiony wsunął rękę do kieszonki kamizelki, w której znalazł srebrną pięcio-frankówkę. Żywo dotknięty tym przypadkiem, rzucił pieniądz i znów szpady się skrzyżowały.

— Dobrze pan umieszcza swoje pieniądze, panie margrabio; doskonałym byłbyś bankierem, rzekł z uśmiechem pan Legrand.

— Nie wolno mówić pod bronią! zawołał poważnie hrabia de Chazé.

Rozdrażniony swoją przygodą, Jan zaledwie zdołał zapanować nad sobą; wysiłkiem woli odzyskał zimną krew, i probując wymierzyć cios stanowczy, zwrócił prędko pięść ku sobie a szpadę wprawą stronę, kierując ją wprost ku oczom przeciwnika, a gdy podniósł nieco rękę aby się zasłonić, zrobił szybki zwrot i wymierzył silnie ów cios w bok, zwany *flankonadą*. Pan Legrand przechylił się nieco w tył; Jan wysunął szpadę, koniec jej był ułamany, ale przeciwnik nie został raniony.

— Do licha! krzyknął pan Legrand, czyż zawsze coś przeszkodzi abyśmy sobie trochę krwi upuścili!.. Cios odbił się o mój zegarek.

— Przed chwilą powiedział mi pan że byłbym dobrym bankierem, gdyż dobrze umieszczam swoje pieniądze; ja nie mogę powiedzieć że byłby pan dobrym zegarmistrzem, bo wystawiasz zegarki swoje na groźne niebezpieczeństwo.

I zapaśnicy i świadkowie nie mogli powstrzymać się od śmiechu; wtedy pan Désormes zwrócił się do hrabiego de Chazé, prosząc o pozwolenie przerwania walki.

— Panie hrabio, rzekł, przed rozpoczęciem pojedynku nie probowałem pojednania — sądzę jednak że obecnie mogę i powinienem to uczynić. Panowie de Lizardière i Legrand postąpili jak ludzie zacni i odważni, zamiast więc bić się, powinni podać sobie ręce. Czy pan hrabia i pan de Cambry nie zgadza się ze mną?

— I owszem, przyznajemy panu słuszność, odrzekli jednocześnie.

— I ja także, rzekł drugi świadek pana Legrand.

Legrand zbliżył się do Jana i rzekł podając mu rękę:

— Panie margrabio, wina pochodzi z mojej strony, ja więc powinienem pierwszy podać rękę do zgody.

Jan ujął podaną sobie rękę, i tak świadkowie jak przeciwnicy, pożegnawszy się uprzejmie opuścili plac boju, zadowolnieni z tak szczęśliwego zakończenia sprawy która mogła opłakane pociągnąć następstwa.

Gdy hrabia wsiadł już z Janem do powozu, zatarł z zadowolnienia ręce, wołając wesoło:

— A! co, mój chłopcze, wszak powiedziałem ci, nie ma jak pchnięcie w bok. Niech żyje *flankonada!*

Dojeżdżając do Marcilly, spotkali Krystynę z Marylką, idące naprzeciwko nich. Ślady niepokoju nie zniknęły jeszcze z twarzy hrabiny, choć dostrzegła już Jana siedzącego w powozie obok pana de Chazé.

— Czy nie jesteś ranny, kuzynie Janie?

— Nie, dobra kuzynko, obaj wyszliśmy cało.

— Opowiemy ci wszystko, Krystyno, to jest o sztuce pięciofrankowej monety, o zegarku i o *flankonadzie*. Więc domyśliłaś się wszystkiego? zaraz wczoraj powiedziałem to Janowi.

— Czy jesteś zadowolniona ze mnie, kuzynko?

— Tak, niedobre dziecko, bo tym razem nie było to z twojej winy.

— A! więc to dla tego mama kazała mi dziś rano modlić się, aby jakie nieszczęście nie spotkało kuzynka Jana! zawołała Marylka.

— Tak, ale o cóż jeszcze kazałam ci się modlić, Marylko?

— Aby kuzynek był dobry i posłuszny, i malował śliczne obrazy, za które dostałby dużo, bardzo dużo pieniędzy.

— Skoro modliłaś się o to, kuzyneczko Marylko, jestem pewny że Pan Bóg cię wysłucha, a ja także z mej strony wszelkich ku temu dołożę starań... O! wiem cobym zrobił gdybym miał wielki majątek!

— Cóż takiego, Janie? zapytała Krystyna.

— To moja tajemnica, kuzynko, ale przysięgam ci że pierwsza ją poznasz, czy nastąpiłoby to za rok, za dwa lub za dziesięć!

XI.

Młoda dziewczyna i mapa sztabu jeneralnego.

Jesteśmy w Bruyeres, w domu pana Désormes. Jestto wielki gmach czworokątny, wygodny elegancki, ale bez żadnej pretensyi do pięknej architektury.

W chwili gdy miały miejsce wyż-opisane wydarzenia, panna Rajmunda znajdowała się w bibliotece ojca. Otworzyła i rozłożyła na wielkim stole ogromną księgę in-folio, i pochylona rozpatrywała się w niej bacznie, już to uśmiechając się już niecierpliwiąc.

Wbrew swoim regularnym i systematycznym nawyknieniom, pan Désormes wpadł nagle do pokoju.

— Cóż ty robisz, Rajmundo?

— Jak widzisz, ojczulku, rozpatruję się w mapie sztabu głównego.

— Oho! czy moja córeczka układa sobie jakieś plany odnoszące się do armii francuzkiej?

— Nie, kochany ojcze, tylko szukam czyby nie można czasem dostać się do Lizardiére, nie przejeżdżając przez Marcilly?

— Otóż zdaje się że nie ma takiej drogi. Rozpatrywałem drogę z Chateau-la-Vallière do Lude, myśląc czy nie idzie jaka boczna droga przez dolinę Maulny, ale widzę tylko ścieżki przez które pewnie nie możnaby jechać powozem; trzeba nam tedy jeździć konno, co nie bardzo będzie miłe gdy słoty nastaną.

— A czemuż nie chcesz jechać przez Marcilly.

— Bo moglibyśmy spotkać pana de Lizardière, wiedziałby gdzie jedziemy, a że Lizardière zostało sprzedane wbrew jego woli, przeto, szczególniej w początkach, mógłby naszą tam bytność uważać za naigrawanie się lub co najmniej za pyszalstwo.

— Pojmuję twoją delikatność, szkoda tylko że nie rządziłaś się nią pierwej — nie trzeba było kupować Lizardière.

— Ach! ojczulku, kiedy tak koniecznie pragnęłam posiadać ten zamek! zobaczysz, zrobię z niego cud piękności w stylu Odrodzenia.

— Jak zwykle tak i teraz nie sprzeciwiałem się twej fantazyi. Od śmierci matki twojej pozwoliłem ci rządzić się według własnej woli, i nigdy nie potrzebowałem żałować tego. Zresztą jesteś pełnoletnia i masz prawo rozporządzać odziedziczonym majątkiem po matce—ale ta fantazya drogo cię kosztować będzie. Najpierw 100,000 fr. dziś wypłacone, a odbudowanie i niezbędne upiększenia co najmniej dwa razy tyle. Ale mniejsza już o to; co ważniejsze że kaprys ten mógł kosztować życie jednego lub nawet dwóch ludzi.

— Żartujesz, ojczulku.

— Bynajmniej, tylko szczęśliwym przypadkiem wszystko się dobrze skończyło.

I pan Désormes opowiedział córce dzieje pojedynku, i dziwne zdarzenie z pięciofrankówką i zegarkiem.

Choć z góry zapewniona o szczęśliwem zakończeniu pojedynku, Rajmunda słuchała z głęboką uwagą opowiadania ojca, a chwilami zaledwie mogła ukryć miotające nią wzruszenie. Gdy wszedł pan Legrand była już spokojna; podała mu rękę nie wspominając o pojedynku. Prosiła tylko aby napisał niezwłocznie do pewnego sławnego architekta, z prośbą o jak najśpieszniejsze przybycie, gdyż pragnie jak najprędzej rozpocząć restauracyę Lizardière.

Podano śniadanie, pan Legrand poprowadził ją do sali jadalnej. Wsparta na jego ramieniu, szła ze zwykłą sobie imponującą miną, złagodzoną przecież dość szczególnym uśmiechem, i rzekła po chwili:

— Więc wszystko dobrze się skończyło, panie zegarmistrzu.

— Doskonale, panno Rajmundo; ale znając sprawiedliwość jej, spodziewam się że przy pierwszem spotkaniu z panem Lizardière, nazwie go pani bankierem.

— O nie! panie Legrand, nie zrobię tego, odpowiedziała.

XII.

Bohaterstwo Klodiona.

Zbliżał się koniec jesieni; deszcz i niepogody nie dozwalały mieszkańcom Marcilly odbywać zwykłych swych przechadzek do lasu. Pan de Chazé, jako przewodniczący polowaniom urządzanym na wilki, utrzymywał wielką psiarnię, wychodził codziennie rano z psami do lasu i wracał upolowawszy paru lisów lub sarn, nad których smutną dolą Marylka bardzo ubolewała.

Chociaż Jan lubił polowanie, jednak całkiem oddany pracy, nie towarzyszył kuzynowi. Ukończywszy malowanie sali, zaczął pracować dla siebie. Zaledwie parę godzin dziennie poświęcał na wypoczynek; Krystyna podziwiała teraz zarówno jego zapał i wytrwałość w pracy, oraz wielki talent coraz wybitniej się objawiający.

Coraz nowe płótna rozpinał na stalugach, coraz nowe krajobrazy ukazywały się w ogromnej sali zamienionej w pracownię. Jan głęboko odczuwał i pojmował przyrodę; samotność w jakiej tak długo przebywał, rozwinęła w nim to tajemnicze ukochanie rzeczy zewnętrznych, żyjące w duszy każdego człowieka, tylko w niejednakowym stopniu. Najmniejszy jego obrazek przekonywał o tem.

Zwaliska chaty czy domku nad strumykiem; białe odbicie na wodzie drgających liści osiny; skała zarumieniona promieniami zachodzącego słońca; arkada mostu rzucająca cień na bieżącą wodę—wszystko to wystarczało mu do uwidocznienia tego co poeta nazwał *bezgraniczną duszą rzeczy.*

Lubił nadzwyczaj zwierzęta i z wielkim talentem odtwarzał je na płótnie. To zamiłowanie do zwierząt posuwał tak daleko, że nie raz gdy miał już strzelić do zająca lub sarny, odwracał broń, mówiąc: „Nie mogę! taka śliczna!” Od lat najmłodszych największą w tem znajdował przyjemność, aby ukryć się w głębi najniedostępniejszych zarośli, pomiędzy ciernie i pnącze i tam usiadłszy oczekiwał nieruchomy. Powoli las zaczynał ożywiać się do koła; tu i owdzie przebiegały zwierzęta nie domyślając się śledzącego ich wzroku. Już to zerwał się zając syt wypoczynku; już to lis badający grunt; jeleń z łanią i jelonkami, szukający większego cieniu; kaniuk siadający na pobliskiej gałęzi, i upatrujący swemi okrągłemi głupiemi oczami, jakiejś do pochwycenia zdobyczy. Jan wpatrywał się zatrzymując oddech; niekiedy wzrok zwierzęcia spotykał się z jego wzrokiem, i wtedy przestraszone uciekało, ale niekiedy znowu stawało nieruchome, i wtedy oczy zwierzęce oswajały się z ludzkiemi. Czasami Jan próbował wymówić jakie słowo, aby się przekonać czy głos ludzki zawsze odstrasza dzikie zwierzęta; zamienił jednozgłoskowe wyrazy z sarnami, mającemi pewną skłonność do cywilizacyi, i nawet z wcale nierozmownemi borsukami prędko uciekającemi do nor swoich, odbywał jakieś narady—i te dyplomatyczne uprzejmości nie były zupełnie bezowocne, gdyż zwierzęta nie są tak dzikie jak to mówią, i przewyższają tem ludzi iż prędko umieją odróżnić przyjaciół od nieprzyjaciół.

Dzięki tym wytrwałym badaniom, Jan odtwarzał niezrównanie obyczaje, postawę i fizyonomię swoich leśnych towarzyszy, i dlatego obrazy jego tchnęły prawdą i życiem.

Krystyna z coraz większem zadowolniem śledziła widoczny postęp w pracach dawnego swego ucznia; codziennie przychodziła z Marylką do pracowni i całe godziny schodziły na zajmujących rozmowach, dla których przecież Jan nie przerywał pracy. O czem tak romawiali? — o wszystkiem i o niczem. O rzeczach obecnych i odnoszących się do przyszłości, o starych wydarzeniach rodzinnych, o prababce która podczas emigracyi zarabiała na życie haftowaniem pugilaresów; o pradziadku który aby nie umrzéć z głodu korzystał z jedynego swego talentu, toczył i sprzedawał drewniane kubeczki do jedzenia jaj gotowanych na miękko. Innym znów razem mówiono o babce która znała dobrze Józefinę de Beauharnais, lub o pra-pra-babce zwanej *diablicą* która zastrzeliła szwagra swego, a następnie padłszy do nóg Ludwikowi XV, uzyskała ułaskawienie.

Krystyna opowiadała wszystko wesoło, miłym i dźwięcznym głosem, co uprzyjemniało pracę margrabiego. Niekiedy zwracała rozmowę na poważniejsze tory; wtedy mówiono o religii, o historyi, a nawet o polityce. Jan którego edukacya zawcześnie została przerwana, chętnie korzystał z tych lekcyj udzielanych zajmująco, a jakby od niechcenia.

Krystyna doskonale znała świat i życie, na czem zbywało najzupełniej jej nieco oryginalnemu kuzynowi; to też powoli, stopniowo, zdołała go przekonać że życie rzeczywiste różniło się bardzo od przedstawianego w dramatach i powieściach. Przyszło nareszcie do tego że mogła mówić o Lizardière i upiększeniach dokonywanych tam przez pannę Désormes, a Jan słuchał spokojnie i bez gniewu. Czuła jednak że w głębi duszy jego kryje się jakaś myśl jej nieznana, stanowiąca zapewnie ową tajemnicę której wyjawić nie chciał. Niepokoiło to nieco Krystynę, ale cierpliwość i siła charakteru, dozwalały jej czekać nie tracąc nadziei.

Od dwóch już miesięcy życie upływało im tak mile i spokojnie, gdy pewnego dnia hrabia odebrał list od pana Désormes i wszedłszy do pracowni odczytał im go głośno.

„Panie hrabio!

„Zwracam się do niego nietylko jako do uprzejmego i uczynnego sąsiada, ale jako do przewodniczącego w polowaniach.

„Wyemigrowawszy z lasu Chinon, gromada dzików osiedliła się w lesie Chateau-la-Valière — niebezpieczni to bardzo sąsiedzi dla mojej wzorowej gospodarki, gdyż niemiłosiernie niszczą mi łany buraków. Spełniłby pan hrabia prawdziwy dobry uczynek, za który byłbym mu nieskończenie wdzięczny, gdybyś raczył przywołać ich do porządku.

„Obecnie, ci nieproszeni goście obrali za mieszkanie około zwalisk Vaujour; chciej pan hrabia oznaczyć dzień, im prędzej tem lepiej, a poprosimy ich aby wrócili do miejsca urodzenia, w razie zaś nieposłuszeństwa sami będą winni temu że nie minie ich kara wywołana ich uporem.

„W tych dniach opuścił nas pan Legrand; rozstawaliśmy się ze smutkiem, gdyż nieobecność jego potrwa lat kilka. Udał się do Węgier, gdzie powierzono mu budowę kilku kolei żelaznych.

„Racz pan hrabia złożyć odemnie pani de Chazé hołd najgłębszego uszanowania.”

Z jakiem mam zaszczyt zostawać dla obojga państwa.

Jakób Désormes.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Daję ci słowo, Różo, że ta bratowa twoja jest prześliczna, zachwycająca! zawołał Hans Altman, wchodząc do pokoju żony, ktorą jakieś zajęcia gospodarskie zatrzymały w domu. Jestto bardzo piękna brunetka pełna życia i ognia, jak te Włoszki spotykane na obrazach dawnych malarzy. Trzeba przyznać że Fryderyk ma gust dobry, i że żona jego zasługuje na miłość szczerą i gorącą.

Przyznajmy że Róża nie byłaby chyba kobietą, gdyby mogła słuchać z przyjemnością podobnej pochwały wychodzącej z ust męża.

— Doprawdy, możnaby sądzić że widok Teodory doprowadził cię do jakiegoś szału, lub że pierwszy raz dopiero widzisz piękną kobietę.

— Ty, moja Różo, jesteś aniołem! rzekł mąż przywołany tym sposobem do poczucia obowiązku, obejmując wpół żonę. Czy wiesz, moje serce, iż według mnie najwłaściwiej byłoby przyrównać ciebie do dobrego piwka, a Teodorę do musującego szampana. Każda z was nieporównana w swojem rodzaju.

— Co za dziwne jakieś i niedorzeczne porównania! zawołała zarumieniona z gniewu Róża. Widzę z tego jednak że zachwyciłeś się Teodorą więcej niż to przystoi człowiekomi w twoim wieku, i oświadczam ci że mi się to nie podoba, dodała uwalniając się z objęcia męża. Nikt nie ośmieliłby się wyrazić w ten sposób mówiąc o mnie, bo moje postępowanie nikogo nie upoważnia do tego. Wiem że mężczyzni najwięcej gustują w kokietkach przymilających się do nich ciągle, ale spodziewam się że mój mąż będzie rozsądniejszym.

Mówiła to z nazbyt wielkiem uniesieniem aby mogła dostrzedz że mąż patrzył na nią z trochę szyderskim uśmiechem.

— Wiesz co Rózieczko, posłuchaj mojej rady: pamiętaj o tem zawsze gdy wpadasz w gniew, aby twój nos zachowywał się spokojnie; zwykle w takim razie porusza się ciągle, co zmniejsza bardzo wrażenie jakie mogłaby uczynić twoja wymowa. Prócz tego używaj gimnastyki dla uspokojenia nerwów; uciekaj się do tego środka ile razy będziesz miała wybuchnąć, a przekonasz się o jego skuteczności.

Róża spodziewająca się całkiem innej odpowiedzi na swe gwałtowne wystąpienie, patrzyła na męża z otwartemi ustami, a w końcu czując że nie potrafi się powstrzymać od śmiechu, odwróciła się i wyszła trzaskając drzwiami.

Altman zbliżył się do szafy z najzimniejszą krwią wyjął z niej flaszeczkę, gęsie piórko, otworzył drzwi któremi wyszła jego żona, i zaczął napuszczać oliwą zawiasy.

— Co ty robisz? zapytała Róża zbliżając się do niego, wszakże nie potrzebujesz się tem zajmować.

— Prawda kochanko, masz słuszność, ale chciałbym aby ci łatwiej było trzasnąć drzwiami, skoro ci znów przyjdzie do tego ochota.

Teraz już Róża nie mogła się powstrzymać od głośnego śmiechu.

— Brzydki mruku, rzekła, nie odpychając już jak przed chwilą ręki męża; czy ja cię nigdy nie zobaczę prawdziwie rozgniewanego.

— Nie, moja różyczko, to już tobie zostawiam, zbyt sumiennie wywiązujesz się z tego zadania, abym mógł rywalizować z tobą, odpowiedział Hans całując świeżą twarzyczkę żony. Że jednak wolę widzieć cię wesołą, gotów jestem zapewnić że nie ma na świecie drugiej pary oczu tak pięknych jak twoje.

— Pochlebco! mówisz to czego nie myślisz, rzekła, spoglądając z radością w lustro.

Pokój został zawartym, ale w głębi serca Róży pozostał zaród niechęci dla Teodory, niewinnej przyczyny tej małżeńskiej utarczki.

Koło wieczora Fryderyk zaprowadził żonę do rodzinnego domu, w którym widział przybytek honoru, pracy i godności. W drodze, młoda para spotykała mnóstwo oczu spoglądających na nią ciekawie przez okno, nie mówiąc już o: „Dobry wieczór panu dyrektorowi,” którem mijający się z nimi witali Fryderyka. Teodorę bawiło to że mąż musiał co chwila unosić kapelusz.

— U nas, mówiła, mogłabym cały dzień chodzić po ulicach nie kłaniając się nikomu, ale przyznaję że to przyjemnie spotykać wszędzie znajomych.

Zadziwiła się bardzo że mieszkając na końcu miasta, doszli tak prędko do rynku; wyobrażała sobie że to będzie znacznie dalej. Zobaczywszy starożytny ratusz zatrzymała się przed nim zachwycona, co było powodem że przechodzący spoglądali na nią z wyrazem zadziwienia.

— Co też ta pani widzi tak pięknego w tej starej ruderze? odezwał się jeden z przechodniów, człowiek już w podesłym wieku. Są tu przecie domy nowe i daleko ładniejsze od tego gniazda puchaczy.

Teodora zwróciła zdumione spojrzenie na starca, który oddalał się wzruszając ramionami.

— Czy ten pan widzi coś nagannego w podziwianiu starożytnych gmachów? rzekła z uśmiechem. Nie powinienby jednak okazywać się tak surowym pod tym względem, bo wszakże sam może być zaliczonym do starożytności.

— Znajdziesz tu bardzo mało osób zdolnych zrozumieć twoje upodobanie. Ale chodźmy już do mej matki; będziesz tam mogła prowadzić dalsze studia nad ubiegłemi wiekami. Pozostało tam z nich wszystko co się przechować dało.

Serce Teodory zaczęło bić śpieszniej gdy wchodziła na peron starego domu w którym mąż jej urodził się i wychował, a teraz ją jako swą żonę wprowadzał do niego. Jej wesołe a zarazem lękliwe spojrzenie błąkało się po obszernych komnatach, a Fryderyk był dumnym z tego że sprawiły na niej silniejsze jeszcze wrażenie niż się spodziewał.

Mama Gahlen nie przebaczyła jeszcze synowej dzisiejszego przekroczenia, dlatego też przyjęła ją chłodno; Róża nie powitała jej także bardzo serdecznie, gdyż wolałaby mieć mniej piękną bratowę. Szczęściem, Helena okazała się równie życzliwą i uprzejmą jak zawsze, a następnie przybycie dwóch córeczek Róży dopomogło do przełamania lodów. Teodora bardzo lubiła dzieci i prawie magnetycznie pociągała je ku sobie. Ciotkę Zelmę która je przyprowadziła powitała wesołym okrzykiem: „A to zapewnie ciocia Zelma”! teraz poznałam już prawie całą moją przybraną rodzinę.

W pierwszej chwili nie podobało się ciotce Zelmie tak poufałe przywitanie, ale wkrótce Teodora pozyskała jej serce wypytując się o jej zdrowie, i słuchając cierpliwie opowiadania o różnych trapiących ją dolegliwościach. Następnie wszedł nieśmiało i niezgrabnie Albert, a chcąc się okazać swobodnym, roześmiał się głośno, wyciągnął do Teodory rękę ruchem przypominającym szympansa chwytającego orzech, i niedługo potem wysunął się z pokoju.

— A jeszcze Joanna; gdzież jest Joanna? rzekła Teodora oglądając się po pokoju. Fryderyk mówił mi tak wiele o swej dobrej i miłej kuzynce, że radabym ją poznać jak najprędzej.

Z framugi okna wysunęła się młodziuchna panienka, której twarzyczka wyrażała tak silny niepokój i cierpienie, że Teodora przejęta współczuciem ucałowała ją serdecznie.

Szczęściem że w tej właśnie chwili pani Gahlen zawezwała wszystkich do stołu, gdyż tym sposobem nikt prócz Teodory nie dostrzegł gwałtownego wzruszenia Joasi, ani też łez które napróżno usiłowała powstrzymać. Jakkolwiek Teodora nie mogła się domyśléć powodów tak bolesnego wzruszenia, zaraz od tej chwili zrodziło się w jej sercu żywe i głębokie współczucie dla sieroty, współczucie jakiego dotąd nie obudził w niej nikt z rodziny męża, nie wyłączając nawet Heleny.

Tego dnia wieczorem Joanna napisała w swym pamiętniku:

„Dziękuję ci, o mój Boże! Wysłuchałeś najgorętsze modły moje. On jest szczęśliwy! Moje serce cierpi jeszcze, ale się już nie uskarżam, błogosławię twą dobroć i miłosierdzie. Jakżeby mógł nie być szczęśliwym, skoro jest kochanym przez tę istotę tak szlachetną, dobrą i piękną jak anioł! Uzupełnij twe dzieło, o! Panie; czuwaj nad tą śliczną głową, i nie dozwól aby pochyliła się kiedy pod brzmieniem cierpienia. Oddalaj od niej także nawet drobne troski i cierpienia odbierające powab życiu, jak drobny pył przyćmiewa barwę najpiękniejszych kwiatów.

„A teraz powtórzę słowa Jana Paul, mego przyjaciela i pocieszyciela. Przebacz mi Boże miłości i miłosierdzia że łzy wylewać będę. Gdy boleść nas przygnębia, serce oburza się na przeznaczenie, przepełnia się goryczą, staje się ciężkiem jak kamień, i upadamy pod tem brzmiennem przewyższającem nasze siły. Lepiej więc niech płyną łzy aż do chwili w której śmierć, ta litościwa przyjaciółka dusz zbolałych, ukołysze nas do snu wiecznego i spokojnego.

„Jednak czuję że i moje łzy przestałyby płynąć, gdybym zamiast być ciężarem dla innych, czuła że jestem komuś użyteczną. Nie zrobiłam nic złego, ale niestety! wiem że obie szale wagi są zarówno próżne, nie ma na nich ani złych ani dobrych uczynków.

IX.

Nowe znajomości.

„Czy młode małżeństwo oddało już pani wizytę? Mówię o Fryderyku Gahlen i młodej jego żonie” zapytała otyła dama swej towarzyszki, którą zaprosiła do siebie w celu porozmawiania o przedmiocie zajmującym całe miasteczko, to jest o przybyciu nowego dyrektora. Otyła dama była żoną bardzo zamożnego kupca, i jako osoba bogata, należała do wyższego towarzystwa w M... Nie można jej było nic zarzucić prócz toalet więcej zbytkownych jak gustownych, była to kobieta poczciwa i z najlepszem sercem, której chętnie wybaczano drobne jej słabostki, nie szkodzące zresztą nikomu, jak naprzykład tro-

chę próżności, lub przybieranie postawy, w jej mniemaniu szlachetnej i majestatycznej, a która z powodu jej otyłości nadawała jej podobieństwo do fregaty wypływającej na pełne morze, z rozpostartemi żaglami. Mąż jej nizki i krępy blondyn, mógł być uważanym za wzór dobroci i życzliwości, i równie jak żona lubił bardzo zapraszać do siebie i częstować przyjaciół i znajomych. „Dzięki Bogu, mówiła pani Wunderlich z pewną dumą, wystarczy nam na to", i nie możnaby znaleźć nigdzie serdeczniejszego jak u nich przyjęcia.

„To już nie podpada wątpliwości, odpowiedziała zapytana. Wszak należała się nam jedna z pierwszych wizyt dyrektora.

— Jakże się pani podobała żona pana Gahlen? mówiła dalej pani Wunderlich, zatrzymując swe pogodne spojrzenie na ostrych rysach swej towarzyszki.

— Trudno powziąść o kimś wyobrażenie po kilku minutach spędzonych w jego towarzystwie, odpowiedziała pani Felsing, rzucając pytające spojrzenie na męża rozmawiającego po drugiej stronie stołu z panem Wunderlich, ale mówiąc prawdę, nie zrobiła na mnie korzystnego wrażenia. Ta arystokratyczna osóbka znalazła się na niewłaściwym sobie gruncie.

— Przyzwyczai się do niego, rzekła dobra pani Wunderlich, obecnie zaś trzeba przyznać że jest śliczna, miła i ubiera się cudownie, chociaż mi się zdaje że kolor jej sukni był trochę za blady; ale miała zachwycający paltocik: poproszę jej aby mi pozwoliła zdjąć z niego formę.

— Nie zwracam uwagi na powierzchowność osób, łaskawa pani, odpowiedziała cierpko pani Felsing. Co zaś do jej toalety, to na osobach szczupłych wszystko dobrze się wydaje. Gdy kupiłam mój paltot z prawdziwego aksamitu, leżał na mnie jakby ulał, a skoro go przymierzyła moja kuzynka, osoba otyła, wyglądała w nim jak karykatura.

Pani Wunderlich pochyliła się nad imbrykiem od herbaty, a następnie zaczęła głośno przesuwać filiżanki, nie dla tego jednak aby chciała ukryć że przymówka pani Felsing do osób tłustych zrobiła na niej przykre wrażenie — bynajmniej—pani Wunderlich była zadowolniona ze swej tuszy, i wcale na to nie zważała że ktoś inny miał pod tym względem odmienne zdanie. Rozśmieszyła ją tylko mania pani Felsing, odnoszenia się przy sposobności do pamiętnego dnia w którym stała się właścicielką paletota „z prawdziwego aksamitu."

Pan Felsing, profesor gimnazyum a zatem podwładny Fryderyka Gahlen, przyjął jak najchętniej zaproszenie pana Wunderlich, wiedząc że tam znajdzie sutą wieczerzę i wino nie przypominające niczem kwaśnego napoju, któremu w jego domu nadawano niezasłużenie to nazwisko. W tej chwili jednak, zamiast słuchać gospodarza mówiącego z nim o pochodzeniu wybornych cygar któremi go poczęstował, przysłuchiwał się uważnie rozmowie pań siedzących naprzeciwko niego. Niezadowolniony, jak widać, z tego co mówiła żona, zaczął kaszlać, a pani Felsing musiała już wiedzieć co to znaczy, bo umilkła natychmiast. Twarz pana profesora miała jakiś dziwny i wcale niesympatyczny wyraz; szczególniej oczy na pół przysłonięte powieką a połyskujące chwilami jakimś niemiłym blaskiem, sprawiały przykre wrażenie, bynajmniej nie złagodzone wyrazem ust mocno zaciśniętych, z których wysuwały się dwa górne szerokie zęby. Włosy jego żółte i twarde sterczały mu nad czołem jak czub na głowie rozzłoszczonej papugi, zwanej kakatoe.

— Młoda pani Gahlen, rzekł mieszając się do rozmowy pań, posiada według mnie równie ujmujące ułożenie jak powierzchowność.

— A tak, wszyscy mężczyzni mówią to samo, ponieważ wszyscy lubią kokietki, odezwała się z żywością pani Felsing.

Nowy atak kaszlu męża skłonił ją znów do milczenia, i nawet zbladła trochę spotkawszy jego spojrzenie.

— Ale ja także sądzę że nie jest stworzona do życia w małem miasteczku, mówił dalej głosem słodkim, nazbyt słodkim. Dziwi mnie to że Fryderyk Gahlen mógł pomyśleć o przeniesiu tego cieplarnianego kwiatu na grunt tak niewłaściwy, że mu trudno będzie żyć na nim.

— Tak, bezwątpienia, i byłby lepiej postąpił, pozostawiając miejsce które zawdzięcza tylko protekcyi, komuś posiadającemu większe zasługi.

Musiała jednak żałować że wymówiła te nierozważne słowa, bo zaledwie wyszły jej z ust, silne kopnięcie nogą siedzącego po drugiej stronie małżonka, dowiodło jej że go pobudziła do gniewu. Zarumieniła się i wybąkała ze łzami w oczach:

— Chciałam powiedzieć... zdawało mi się...

— Chciałaś powiedzieć, droga Augusto, to co myśli wiele osób, do których jednak ja nie zaliczam się wcale; przeciwnie pochylam czoło przed świetnemi zdolnościami tego młodego człowieka, które nadają mu prawo do jeszcze wyższych godności.

— Bezwątpienia, rzekł poczciwy pan Wunderlich, z wyrazem radości i pewnego rozrzewnienia; wszak zresztą rodzina Gahlenów należy do najwięcej u nas szanowanych. Ileż to chwil przyjemnych spędziłem w towarzystwie ojca Fryderyka, któremu śmierć przedwczesna nie dozwoliła cieszyć się z zaszczytu jaki spotkał jego syna! Jakżeby z tego był dumnym i szczęśliwym!

— Obawiam się tylko aby matka nie była dla synowej zbyt przykrą i wymagającą, odezwała się pani Wunderlich. Jestto osoba tak systematyczna i surowa!..

— A jak mi się zdaje, synowa nie ma najmniejszego wyobrażenia o gospodarstwie, przerwała nieoprawna pani Felsing. Mówiłam z nią o różnych domowych zajęciach, i czy pani temu uwierzy, że nie wie dotąd kiedy się u niej zacznie półroczne pranie bielizny, oraz że jeszcze nie porobiła żadnych zapasów na zimę? Słyszałam że to ma być sawantka w całem znaczeniu tego wyrazu; zobaczymy czy pani Gahlen, kobieta praktyczna, będzie zadowolniona z takiej synowej.

— Młode to i niedoświadczone jeszcze, rzekła pani Wunderlich, chętnie dopomogłabym jej, a przynajmniej doradziła co ma czynić.

— Nie, nie, droga przyjaciółko, najlepiej zrobisz pozostawiając ją jej własnym siłom, zawołała pani Felsing, której nos spiczasty zdawał się przedłużać jeszcze. Te wykwintne panie ze stolicy są przekonane ze znają się na wszystkiem i wszystko umieją, a gdy im ktoś chce oddać przysługę, zamiast podziękowania krzywią się na niego.

— Przedstawiasz się gorszą niż jesteś, moja droga, odezwał się profesor swym słodziutkim głosem, jakkolwiek jednocześnie rzucił na żonę spojrzenie pełne całkiem odmiennego wyrazu. Zbyt dobrze znam twoje serce abym mógł nie wiedzieć o tem, że jesteś najszczęśliwszą gdy możesz zrobić komuś jaką dogodność. Co zas się tycze nagrody za nasze dobre czyny, znajdujemy ją w naszem sumieniu, więcej nam nie trzeba.

Pani Felsing piła herbatę nie mówiąc już ani słowa, a pani Wunderlich patrzyła na męża, chcąc się przekonać jakie wrażenie sprawiły na nim słowa profesora, a widząc że małe jego oczki wyrażały tylko najszczersze zadowolnienie, wstała prędko i wyszła pod pozorem wydania jakiegoś rozkazu. Zacna kobieta nie była wcale ograniczoną, nie łatwo też było ją oszukać, a sama szczera i poczciwa, nie mogła słuchać spokojnie tak obłudnej mowy.

Wkrótce służąca oznajmiła że podano wieczerzę; poczciwy Wunderlich poprowadził panią Felsing do stołu, gdzie starał się dowieść jej mężowi jak mu się podobały szlachetne jego zasady, napełniając mu ciągle kieliszek wybornym reńskim winem.

— Dzięki Bogu że już odeszli! zawołała pani Wunderlich, gdy goście oddalili się późnym już wieczorem.

— A dla czego: „Dzięki Bogu", moja żoneczko? zapytał poczciwy pan Wunderlich. Bawiłem się bardzo dobrze; profesor jest człowiekiem rozsądnym i umie się pięknie wysłowić.

— Bardzo cieszę się że czas nie wydawał ci się tak długim jak mnie, ale wyznaję że piękne słówka twego rozsądnego człowieka, bardzo mi się nie podobały. Pomimo pochwał jakie oddawał Fryderykowi Gahlen, czułam że pała ku niemu największą zawiścią, za to że zajął miejsce dyrektora które on właśnie spodziewał się otrzymać. Przysięgłabym że będzie usiłował usunąć go z tej posady, nie napróżno przecie ożenił się z córką rektora posiadającego różne wpływy i stosunki.

— Czy naprawdę sądzisz, Mino, że pragnie zająć to miejsce? zawołał pan Wunderlich, otwierając pod wpływem zadziwienia tak szeroko oczy, że doszły do średniej wielkości. Wyrażał się tak pokornie o niezwykłych zdolnościach Fryderyka, że mnie to wzruszyło.

— O! tak, umie on udawać; ale trzeba mieć takie serce jak twoje, nie znające obłudy i nikczemności, aby uwierzyć jego miodowym słówkom. Nie jestem tak dobrą jak ty, dlatego też nie ufam temu panu, który nie spojrzy nikomu prosto w oczy i odgrywa zawsze komedję ze swą żoną, posiadającą przynajmniej tę dobrą stronę że nie jest fałszywą, ale z pewnością musi tem ściągać na siebie ostre wymówki gdy w niewinności duszy powtarza to co mąż jej myśli. Wiesz co, mój mężu, jeźli nie masz nic przeciwko temu, to nie zaprosimy ich już tak prędko do siebie.

— Jak chcesz, Mino, jak chcesz, odpowiedział łagodnie pan Wunderlich, otwierając pudełko z cygarami. Co prawda, to profesor nie umiał nawet ocenić moich hawańskich cygar, i nie słuchał gdy mu opowiadałem jakim szczęśliwym trafem zdołałem je nabyć. Może zaprosilibyśmy państwa Gahlen, skoro ona tak ci się podobała? Czy dobrze, Mino?

— I owszem, mój drogi, rzekła głaszcząc łysą głowę męża; ale muszę pierwej oddać im wizytę, i czekam tylko aby mi przysłano z magazynu nowy kapelusz, bo nie mogę przecie chodzić przy końcu jesieni w letnim kapeluszu. Wiesz że dbam o te drobnostki pomimo że są kosztowne.

— Dzięki Bogu, Mino, wystarczy nam na to, rzekł wesoło pan Wunderlich, powtarzając zwykłą odpowiedź żony.

(D. c. n.)
